STRON 8

ROK V • NR. 4 /188/
NIEDZIELA
28 STYCZNIA
LONDYN • 1951

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh

W NUMERZE:
MYŚL KATOLICKA WE FRANCJI • R. TRAUGUTT • ŻYCIE AKADEMICKIE

JAN TOKARSKI

LEKCJA ROKU ŚWIĘTEGO

PRZEZ cały Rok Święty nie opuszczała mnie myśl o Józefie Benedykcie Labre. Kiedy z grupą polskich pielgrzymów jechałem przez południową Francję, i potem we Włoszech, wszędzie był z nami duch tego najbardziej tajemniczego ze świętych zachodniego Kościoła.

Burżuazyjni, stateczni, używający mydła i brzytwy, „estetyczni" katolicy zachodni, do dziś nie wiedzą, jak sobie z nim poradzić. A bieda ta nie jest biedą tylko samych wiernych... Prawie zawsze, kiedy o nim mowa, możemy usłyszeć zakłopotany cytat o tych świętych, co to sunt admirandi sed non imitandi: których mamy podziwiać, lecz nie naśladować.

A przecież ten nie myjący się i nie golący młody człowiek, „ubrany" już nie w łachmany, ale w cuchnące szczątki łachmanów, byle jak pościągane nicią, tyle tylko, żeby widokiem nagości nie razić; o kolanach do samej kości zdartych od klęczenia; wyniszczony pokutą; o ciele, które było nie gojącą się raną od toczącego je robactwa: nie był żadnym „świętym brudasem", jak opat Hilarion, pierwszy w dziejach Kościoła święty wyznawca otwierający ich poczet na Wschodzie. Przeciwnie! Z natury był nie tylko czysty, ale wręcz wytworny i ten rodzaj umartwienia, który dobrowolnie przyjął, wymagał od niego całkowitego samozaparcia. Malarze podziwiali jego prześliczne ręce. Ludzi, z którymi milczący zazwyczaj Józef Benedykt zamienił parę zdań lub zgodził się przy ich stole zjeść kruszynę chleba, zdumiewała i zachwycała niezwykła gracja tego „żebraka", jego delikatność, nie dający się opisać wdzięk wysłowienia i kultura obejścia. Nie był też prostakiem; był inteligentem, znał dobrze łacinę, po nieudałych próbach, w kilku zgromadzeniach, aby zostać mnichem, do końca życia odmawiał brewiarz.

Chyba więc Duch Św., który opatruje boże potrzeby Kościoła i na ich miarę wzbudza świętych, miał coś więcej na celu niż to, abyśmy z powodu Józefa Benedykta mieli słuchać sloganu o podziwianiu i nienaśladowaniu.

Ten Job nowoczesny, przez niektórych swych współczesnych uważany za Jezusa „lub któregoś z Jego Apostołów", przez innych lżony, obrzucany błotem, kamieniami, bity, raniony, lub traktowany — także przez wielu duchownych — jak leniwy włóczęga, nie chcący pracować i jąć się „normalnego" życia jakie „wszyscy" z woli bożej prowadzą — wyszedł z Francji tego okresu, o którym to potem powie Talleyrand, że kto go nie przeżył, nie wie, co to jest „la douceur de la vie". — La douceur de la vie, słodycz życia po raz ostatni tak barwnego i kolorowego, połyskliwy szelest najdroższych materiałów, blask klejnotów, strumienie perfum i to widmo, — naprawdę krwawe widmo nędzarza z własnej i bożej woli, snującego się w cuchnących, pełnych robactwa szmatach, po drogach Europy zachodniej i południowej.

Był, sam może o tym nie wiedząc, sędzią swojego czasu i demaskował własną samotnością złudę tych, którzy według ówczesnych pojęć wierzyli, że tworzą społeczność: iż społecznością w sensie chrześcijańskim już nie są. Że są monadami, których nie łączy nic prócz uczestnictwa w egoiźmie, wyzysku, socjalnej głupocie — albo w krzywdzie tych, na których koszt żyli. Był to już rozpad, którego pierwsze skutki miały się stać widoczne niebawem, a jawne są dla nas dziś. Monady, które można jedynie z zewnątrz zewrzeć w stado obręczą przemocy: oświeconego absolutyzmu — jak wtedy, strachu przed zemstą wyzyskiwanych — jak wtedy i dziś, dyktaturą — jak dziś.

Św. Benedykt Labre jest także znakiem i to przede wszystkim dla naszych czasów i tych, które przyjść mają. Objawiwszy światu, jakie głębie wielkości i świętości kryją się „na dnie", pod tak dla oka ludzi „normalnych" ohydną powłoką krańcowego wyrzeczenia, wśród ostatnich wyrzutków - szumowin ludzkich, z którymi przecież gnieździł się w ruinach Koloseum (pod V stacją Drogi Krzyżowej...), z „przesadą" świętych ukazuje nam — jaką wolność daje ubóstwo. Jego, bożego herosa, stać było na wyrzeczenie krańcowe. Nam zaś radzi swym [illegible] co już i tak siłą faktu jest stanem na coraz większych połaciach świata: ubóstwo. Nie nędzę, która ludzi zwyczajnych zabija, lecz ubóstwo, które wyzwala. Ubóstwo jest również stanem większości emigrantów, chodzących jeszcze dalszymi, jeszcze bardziej okrężnymi drogami, niż on chodził. Ubóstwo to, o którym Chrystus mówił, zakazując troski o utro, bo dość troski niesie z sobą dzień dzisiejszy. Nic tak nie uleczyłoby świata, z dnia na dzień, jak duch ubóstwa. Jest ono zapewne tym bożym „planem Marshalla", szykowanym jako uniwersalne wyzwolenie świata. Jego heroldem był w wieku XVIII Józef Labre, współpracownikami Opatrzności są dziś tak zwane ludy kolorowe, które dojrzały dostatecznie, aby przeszkodzić tuczenia się kilku państw kosztem blisko dwa miliardów ludzi o takich samych prawach do życia na miarę tej samej godności ludzkiej.

— A apostołami ubóstwa — czyż nie powinni być emigranci? Narazie są dla „świata" jedynie groźnym memento tego, co już jutro może spotkać każdy inny kraj, a co dzieje się w tej chwili n.p. na Korei, gdzie tysiące i setki tysięcy ludzi pozbawionych wszystkiego, w najokrutniejszych warunkach wojny, po raz trzeci pędzone są z krańca na kraniec swej własnej nieszczęsnej ojczyzny, a przecież nie dla jej dobra są te ofiary.

W 18 stuleciu zamierał już wielowiekowy ruch pielgrzymek chrześcijańskich. Jeszcze tylko ludzie prości chodzili, jak się mówiło we Francji, „służyć" św. Antoniemu, św. Franciszkowi, św. Jakubowi, Matce Bożej. Św. Józef Labre zaś całe swoje życie, od chwili przekroczenia po raz pierwszy granicy włosko-francuskiej, „służył", odprawiając pielgrzymki po wszystkich głównych miejscach świętych zachodu i południa Europy. I może to on jest cichym patronem powtórnego odżycia głębokiego sensu pielgrzymek w chrześcijaństwie naszych czasów, ich sensu zarazem społecznego i nadprzyrodzonego. Cóż Rok Święty nie był triumfem tej wielkiej formy społecznego wyznania Boga przed ludźmi, triumfem, jakiego już wieki całe nie widziały. Czyż wyrzeczenia i ofiary, aby tylko móc dojechać do Rzymu, nie rodziły się z jego natchnienia. Oto uboga para z Buenos Aires sprzedaje wszystkie meble, zastawia ubrania, aby opłacić bilet na przejazd z Argentyny. Ponad 60 letnia staruszka z Pirenejów jedzie na rowerze, ponad 70 lat licząca starowina z Bawarii, 72 letni starzec z Ancony idą pieszo do św. Piotra po łaski Roku Świętego. Ileż takich faktów podawała prasa i to nie tylko katolicka

„Kiedy staniemy po raz ostatni na progu, wydeptanym krokami tylu pielgrzymów, którzy przybywali tu szukać oczyszczenia i przebaczenia, odtworzą się w Naszej duszy, jakby w jednym obrazie, wszystkie naprawdę niezrównane cuda tego roku, ten wspaniały przepych wielkich obrzędów liturgicznych i owe niewidzialne ,ale za to tym piękniejsze odblaski dusz, odnowionych i uświęconych łzami skruchy w trybunale pokuty i łzami miłości u stóp ołtarzy.(...) Przesuną się również w Naszym wspomnieniu budzące tęsknotę drogie obrazy waszych twarzy". — Tak oto na zakończenie Lata Miłościwego przemawiał Papież, który otwierając ten Rok wielkiego powrotu i wielkiego przebaczenia porównał się do biblijnego ojca czekającego u progu z sercem pełnym miłości na wszystkie dzieci: i te, które go za Ojca uznają, i te, które go nie uznają, lub nie znają nawet, i te, które go lżą i sprawiają mu ból sercowy.

Z całego świata zbiegło się ich tylu, że, jak sam Pius XII powiedział jeszcze przed zamknięciem „bramy sprawiedliwości" — sukces Roku Świętego przewyższył wszelkie najśmielsze wyliczenia i oczekiwania ludzkie. Najwięksi optymiści w komitecie centralnym liczyli na 2 miliony pielgrzymów. W rzeczywistości, mimo niepokojów czasu, mimo trudności transportowych, dewizowych, mimo groźby wojny, która z powodu konfliktu koreańskiego w połowie roku zeszłego — zdawało się — zawisła nad światem — ponad 3 miliony pielgrzymów zawitało do Rzymu. — Łatwo się tę cyfrę wymawia, jesteśmy bowiem „zepsuci" wielkimi liczbami. Ale przecież to więcej, niż liczyła mieszkańców Litwa przedwojenna; o milion więcej, niż jest ludności katolickiej w Anglii i Walii; więcej, niż było przed wojną razem mieszkańców w 8 największych miastach Polski: Warszawie, Łodzi, Poznaniu, Lwowie, Wilnie, Krakowie, Bydgoszczy i Gdyni. Nie licząc niezgłoszonych, punkt statystyczny komitetu centralnego zanotował do początku grudnia 90.000 Amerykanów, 1.500 Australijczyków, 1.500 mieszkańców Afryki.

Dzieje Kościoła nie znają drugiego takiego jubileuszu, żeby już ograniczyć się do tych liczb tylko, nie wspominając nawet o ogłoszeniu dogmatu, zasadniczej wagi kongresach i zjazdach, wystawach, beatyfikacjach i kanonizacjach, przemówieniach Papieża, jego dokumentach, a wśród nich takiej miary, jak egzorta do kapłanów „Menti Nostrae" i encyklika „Humani Generis". Jubileusz sprzed lat 50 — za Leona XIII zgromadził 350.000 ludzi, jubileusz 1925 roku za Piusa XI skupił ich przy Piotrze około 590.000. A niemal połowę tej liczby stanowili pielgrzymi z krajów, z których dziś nikt zjawić się nie mógł. Tylko symboliczna lampa z nazwami krajów ogarniętych niewolą zapłonęła w bazylice św. Piotra. Jeden jest tylko człowiek na świecie, który o tych narodach nie zapomina, który pamięta wierniej niż ich przedstawiciele na emigracjach: — Ojciec Wspólny, Papież.

Pewien dobrze poinformowany pisarz w swym wydawnictwie „Pope Pius XII: Priest and Statesman" mówiąc o licznych audiencjach w Watykanie w czasie wojny i bezpośrednio po niej, kiedy to Papież przyjął ponad półtora miliona żołnierzy alianckich, stwierdza, że najgłębiej wzruszyła Ojca św. audiencja, podczas której „polscy oficerowie (2 Korpusu) prosili, aby im było wolno ponieść go na swych barkach na sedia gestatoria". I dodaje:

„Ci bohaterowie wielu bitew byli teraz ludem bez ojczyzny, nowymi Izraelitami, niosącymi na wygnaniu swą Arkę Przymierza".

Miliony opowiedziały dziesiątkom milionów o Ojcu, który niesiony nad głowami tłumów, błogosławi Miastu i światu i jest im Arką Zbawienia; który miłość swoją, w tym świecie nienawiści i podziałów ma dla wszystkich, bez względu na granice, rasy, wiary. Niech od jego miłości, od błogosławieństw, od skarbów Łaski, które otworzył dla wiernych całego świata, rozpalą się myśli i serca ludzkie i niech padnie żelazny mur nienawiści i niewoli, o którym z takim bólem mówił niedawno.

Jan Tokarski



OJCIEC ŚW. ZAPALA LAMPĘ WOTYWNĄ — SYMBOL UCZESTNICTWA NARODÓW PRZEŚLADOWANYCH W JUBILEUSZU 1950 -

W dniu 3 grudnia 1950 r. Opiekun wychodźców polskich, Ks. Biskup J. Gawlina w obecności Ojca św., duchowieństwa i licznych katolików zza „żelaznej kurtyny" odprawił w bazylice św. Piotra uroczyste nabożeństwo na intencję narodów prześladowanych. Po nabożeństwie Ojciec św. poświęcił i uroczyście zapalił lampę wotywną, która następnie została wniesiona do Bazyliki przez Święte Wrota, jako symbol uczestnictwa w Roku Świętym tych wszystkich, którym prześladowcy nie pozwolili udać się do Rzymu, i ustawiona przy Grobie św. Piotra. Lampę projektował i wykonał polski artysta-rzeźbiarz Michał Paszyn z Rzymu. Na podstawie lampy umieszczono nazwy narodów prześladowanych.

MYŚL KATOLICKA WE FRANCJI

W MIESIĘCZNIKU „*Revue de Paris*" ukazał się niedawno nader interesujący artykuł Gaëtana Bernoville o współczesnych prądach w katolickiej myśli francuskiej; artykuł ten w przekładzie angielskim ogłosiła w ostatnim swym zeszycie „*Dublin Review*".

Bernoville stwierdza, że wśród myślących katolików we Francji wszystko jest w ruchu, w poszukiwaniu kierunku i dążności rozwojowych. Dlatego wskazać można tylko na główne prądy myśli katolickiej.

Nie ma nic dziwnego w tym rozfalowaniu myśli. Od początku ery chrześcijańskiej zawsze istniało zagadnienie dostosowywania myśli chrześcijańskiej do nowych elementów, przyniesionych przez postęp wiedzy i ewolucję umysłów ludzkich, obyczajów i ustrojów społeczeństw; dostosowanie to musi się oczywiście odbywać w granicach, wyznaczonych przez Objawienie, ów „depozyt wiary", nad którym Kościół sprawuje pieczę i który jest niezmienny. W wymienionych jednak dziedzinach Kościół zostawia swym myślicielom rozległe pole do badań i do badań tych zachęca — rezerwując sobie jedynie prawo ostrzegania ich, jeśli popadną w błąd.

Dzisiaj zagadnienia przybrały takie rozmiary i spowodowały tak wielką ilość tragicznych konfliktów, że myśl ludzka — i to nie tylko myśl katolicka — jest przez nie w całości głęboko poruszona. Stąd pochodzi współczesne zamieszanie i brak równowagi. Wszystko odbywa się dziś na skalę globową, a nawet kosmiczną; perspektywy, otwarte przez odkrycia naukowe, a także inne czynniki — perspektywy oceniane przez umysł ludzki bądź optymistycznie bądź pesymistycznie, — zmuszają intelektualistów do przemyślenia na nowo podstawowych zagadnień ludzkiej natury i przeznaczenia.

Pewne czynniki wpływają jednak ujemnie na obiektywizm i ścisłość tych przemyśleń. Wielu intelektualistów zanadto się dziś spieszy, jakby pragnęli ścigać rozwój wydarzeń i, o ile to możliwe, wpływać na nie. Taki pośpiech, choć wywołany szlachetnymi pobudkami, kończy się często zamieszaniem myślowym, a nawet skrzywieniem wartości i niezrozumieniem ich podstawowej hierarchii. Zarysowuje się tu przede wszystkim gwałtowne, rozmyślne zrywanie z przeszłością i oddalanie się od żywych źródeł tradycyjnej kultury. Zanotować także należy pewną niedojrzałość i naiwność, właściwą rewolucjonistom, która skłania ich do mniemania, że wszystko budują od nowa, — przede wszystkim zaś paniczną niemal obawę, by nie uchodzić za „reakcjonistów". Stąd dążność do zrywania z wszelkimi sposobami myślenia, uważanymi za tradycyjne, kóre ocenia się mniej z punktu widzenia ich ważności i słuszności, niż z punktu widzenia ich „współczesności". Powoduje to ogólną tendencję stosowania się do przejściowych mód intelektualnych, a to nie sprzyja niezależności i obiektywności badań.

Nasuwa się tu refleksja, że te uwagi Bernoville'a, niewątpliwie słuszne w zastosowaniu do Francji, w znacznie mniejszym stopniu odnieść można do myśli katolickiej w Anglii i innych krajach. Ową dążność do nowatorstwa *à tout prix*, uważać można za jeden z przejawów ogólnego zachwiania się wiary Francuzów we własne dotychczasowe wartości kulturalne, co łączy się z biologicznym i politycznym osłabieniem Francji w ostatnich dziesięcioleciach. Ruchliwa i zawsze żywa myśl francuska reaguje na to scharakteryzowanym wyżej niepokojem i gorączkowym odrzucaniem dawnych wartości, a także silniejszym może niż dawniej uleganiem wpływom obcym.

Bernoville zwraca następnie uwagę na wpływ, jaki na kształtowanie się myśli także katolickiej wywierają namiętności polityczne. Motywy polityczne warunkują bieg myśli intelektualistów spekulatywnych — często zupełnie bez ich wiedzy. Ponad wszystkim rozsiany jest pewien rodzaj rozlewnego romantyzmu. Do właściwości tych dochodzi tyrania pewnych słów, które dostąpiły roli jakichś rytualnych zaklęć. Są to słowa takie, jak „*message*", „*présence*", „*témoignage*" i „*témoin*", „*engagement*" i „*engagés*" „*technique*", „*dialectique*" i wiele innych. Niewątpliwie wyrażają one pewien nowy sposób myślenia, ale spełniwszy tę rolę narzędzi myśli, poczynają wkońcu myśl tę hypnotyzować, nabywają jakiegoś tajemniczego, magicznego znaczenia.

Niemal wszędzie panuje pogląd, że dotychczasowa myśl katolicka w znacznej mierze przeżyła się, że jest uwięziona w formułkach zbyt sztywnych i że niezdolna jest objąć całości współczesnych zagadnień ludzkich. Stąd słuszna w zasadzie dążność, a nawet determinacja, by myśl tę związać blisko z człowiekiem współczesnym, jego doczesnym przeznaczeniem, a nawet z jego wiarą w szczęśliwość na ziemi, z jego pragnieniem sprawiedliwego, wyrównanego ustroju społecznego, z którego wygnane będzie ubóstwo i jaskrawa nierówność warunków społecznych. Dąży się do myśli katolickiej, która nie byłaby „laboratoryjna", ale „obecna w naszym świecie", „ucieleśniona". Rolą jej będzie utrzymywać kontakt z wszystkimi ruchami intelektualnymi, nawet wrogimi katolicyzmowi, i poszukiwać wspólnego gruntu do dyskusji z nimi.

* * *

Po tych ogólnych uwagach, Bernoville przystępuje do wyliczenia głównych prądów współczesnej katolickiej myśli francuskiej. Na jej skrajnym skrzydle nawiązywanie do tradycji, jeśli w ogóle zachodzi, zredukowane zostało do minimum. Na skrzydło to silny wpływ wywiera nie tylko marksizm, ale także rozliczne hipotezy naukowe.

Spośród grup, które szczególnie mocno znajdują się pod oddziaływaniami marksizmu, największą stanowi „*Jeunesse et Eglise*". Grupa ta posiada zespół pracowników umysłowych i pismo; obu tymi formami jej działalności kieruje dominikanin, O. Montlucard. Głosi ona pogląd, że Kościół w biegu dziejów znalazł się pod przemożnym wpływem klas rządzących i posiadających, oraz anonimowych potęg kapitału. W konsekwencji niezbędną jest „reforma strukturalna" Kościoła. O. Montlucard atakuje szczególnie „pobożność ćwiczeń duchowych" oraz tych katolików, którzy jakoby pielęgnują uduchowienie cieplarniane, nie dbając o to, co się dzieje z resztą świata. Głosi on, że prawdziwe chrześcijaństwo jest znacznie bardziej faktem społecznym niż doktryną.

„*Jeunesse et Eglise*" nie jest ruchem ani silnym liczebnie ani wpływowym. Przyswoił on sobie wiele elementów marksistowskiej filozofii historii oraz marksistowskich idei ekonomicznych i społecznych. Tak samo dotyczy i innej grupy: „*Economie et Humanisme*", również inspirowanej przez dominikanów. Kładzie ona jednak większy nacisk na intelektualną precyzję swych poglądów. Poglądy „*Economie et Humanisme*" wyłożył jeden z przywódców tej grupy O. Desroches w swej książce „*Signification du Marxisme*". Wywody jej spotkały się z ostrą repliką ze strony O. Gastona Fressarda, jednego z członków redakcji periodyku jezuickiego „*Etudes*". Fressard ujmuje poglądy O. Desroches w jedną prostą formułę: „komunizm leży w logice historii" — i tezę tę zwalcza.

Dalszą pokrewną ideowo grupę stanowią tzw. „postępowi chrześcijanie". Grupa ta jednak i jej przywódca ks. Boulier nie ograniczają się do przyjmowania idei Marksa, ale równocześnie bardzo czynnie współpracują w zakresie politycznym z komunistami, podkreślając zresztą stale, że domena ich wiary nie zostaje przez to dotknięta. Działalność tej grupy spotkała się z potępieniem ze strony czynników kościelnych. Ks. Boulier został tymczasowo zawieszony w sprawowaniu czynności kapłańskich w lecie r. 1949, kiedy bawił w Czechosłowacji jako gość tamtejszego rządu. To zasuspendowanie zostało cofnięte nim następcą kardynała Sucharda mianowany został arcybiskup Feltin; w lecie 1950 r. obłożył on ks. Boulier interdyktem. Mimo to grupa „postępowych chrześcijan" nadal istnieje, wywierając wpływ na niektórych młodych intelektualistów.

Duchowym inspektorem tej grupy i czasopisma „*Esprit*" był Emmanuel Mounier, zmarły niedawno pisarz o wybitnej indywidualności. Mounier, podobnie jak Jean Lacroix i Nedoncel, był zawsze wyrazicielem tendencji personalistycznych, które głoszą prymat osobowości ludzkiej nawet w dziedzinach socjalnej i ekonomicznej. Niemniej wpływ marksizmu na „*Esprit*" jest niezaprzeczalny.

Inna z istniejących grup znajduje się równie silnie pod wpływami marksizmu, jak pod wpływem teorii ewolucji. Jej głównym przedstawicielem jest O. Teilhard de Chardin T.J. Wedle niego ludzkość znajduje się wciąż jeszcze w stanie niemowlęctwa i wszystko wskazuje, że odbędzie ona ewolucję w kierunku „państwa ponadludzkiego", w kierunku „totalizacji", czy też, używając innego wyrażenia O. Teilhard de Chardin w kierunku „naukowo-socjalnej aglomeracji". Czy chcemy, czy nie chcemy, wkroczyliśmy w erę intensywnej socjalizacji. O. Teilhard de Chardin wypowiada pogląd, że jeśli katolicy chętnie i z zapałem wejdą w proces kolektywizacji, to nie przyniesie ona ze sobą zagłady osobowości ludzkiej. Jak dotąd, nie uzasadnił jednak jeszcze swego optymizmu w tym zakresie. Tezy jego spotkały się z ostrą polemiką w książce „*L'Evolution Rédemptrice du P. Teilhard de Chardin*", wydanej przez „*Editions du Cèdre*".

* * *

Od tych grup skrajnych autor artykułu przechodzi do ugrupowań pośrednich, które łączą żywe pragnienie dostosowania się do wymagań naszych czasów, a nawet do nowoczesnego sposobu wyrażania się, z świadomym dążeniem do nawiązywania do tradycji. Grupy te są bardzo liczne. Najpierw więc żywe są nadal idee Blondela; rok temu powstało stowarzyszenie, poświęcone ich propagowaniu i rozwijaniu p. n. „*Amis de Maurice Blondel*". Wyrazicielami jego poglądów na łamach periodyku „*Cahier de la Nouvelle Journée*" są ks. Valensin, msgr. Mullet i Paul Archemboult.

Inny ruch, zapoczątkowany przez ks. de Moncheuil i ks. Poucel, poświęca się właściwym studiom religijnym, szczególnie teologii i egzegezie. „Postępowość" tej grupy zaznacza się w dążeniu do zwiazania teologii i historii z żywym, współczesnym człowiekiem. Teologia nie może być sprawą garstki specjalistów w beretach akademickich. Wspominany ruch zajmuje się m. in. wydawaniem dzieł teologicznych i egzegetycznych w formie dostępnej dla szerszej publiczności. Tak np. w serii „*Génie du Christianisme*" której głównym kierownikiem jest François Mauriac, ukazały się już dzieła Origenesa, a wkrótce pojawi się też Tertulian.

Wybitnym myślicielem grupy jest O. Daniélou T.J. Unika on starannie mieszania się do zagadnień politycznych, a nawet socjologicznych, wychodząc z założenia, że mogłoby to ja zanadto pchnąć ku humanizmowi ze szkodą dla dominującej pozycji katolicyzmu.

W sferze filozofii z podobnych założeń wychodzi „chrześcijański egzystencjalizm" pod przewodnictwem G. Marcela.

Poza teologią, egzegezą i filozofią zaznacza się także ożywienie studiów i praktyki liturgicznej; tu pierwsze miejsce przypada opactwom benedyktyńskim.

Innym silnym prądem jest ekumenizm, który dąży do zbliżenia różnych kościołów chrześcijańskich. Głównym jego pionierem we Francji jest O. Congar O.P., który ogłosił wspaniałą książkę „*Chrétiens désunis*". Nie można oczywiście spodziewać się, by Kościół poczynił na rzecz tego zbliżenia jakieś koncesje doktrynalne, niemniej Rzym sprzyja rozwojowi braterskiego ducha między różnymi Kościołami, zwłaszcza w opozycji do materialistycznego ateizmu.

Ta sama tendencja przeciwstawia się takiej koncepcji chrześcijaństwa, która zbyt wyłącznie koncentruje się dokoła Zachodu i złączona jest, nawet w pracy misjonarskiej na Bliskim i Dalekim Wschodzie, z formułami zachodnimi. Przeciwnicy tej koncepcji organizują studia nad religiami wschodnimi i przygotowaniem odpowiednich metod ewangelizacji tych krajów.

* * *

Bardzo poważną pozycję w myśli katolickiej we Francji zajmuje tomizm, którego głównym przedstawicielem jest O. Garrigou-Lagrange, dominikanin. Działalność pisarska jego i O. Sertillanges O.P. świadczy, że choć dominikanie zażywają reputacji „awangardzistów", nie jest to słuszne w odniesieniu do wszystkich członków zakonu, — poza tym zaś, że tendencja ta w niczym nie narusza ścisłej ortodoksji teologicznej zakonu. Znajduje ona wszakże wyraz na innych polach: w polityce, socjologii i estetyce. Ta dwoistość zaznacza się silnie w ośrodku dominikańskim w Saint Maximin; jej głównym wyrazicielem był O. Bruckberger, O.P., redaktor nieistniejącego już periodyku „*Cheval de Troie*". Ośrodek Saint Maximin wydaje „*Revue Thomiste*"; inny ośrodek tomistyczny „*Eaux Vives*" znajduje się w Etiolles. Tam to zawitał Maritain, gdy po wojnie powrócił z Ameryki.

Rola, jaką sobie wyznaczył Maritain, polega, jak się zdaje, nie na „adaptowaniu" doktryny tomistycznej, która, zdaniem jego, powinna być wolna od wszelkich kompromisów, ale na zbadaniu w świetle tej doktryny wszystkich spraw, które budzą ciekawość umysłu ludzkiego. Maritain uczynił to np. w odniesieniu do estetyki w książce „*Art et Scolastique*". Żywił on intelektualną sympatię do grupy „*Action Française*", lecz później oddalił się od niej całkowicie; w latach ostatnich zbliżył się wyraźnie do chrześcijańskich demokratów. Jego pozycja intelektualna jest nadal silna, jak to wykazała „*Semaine des Intellectuels Catholiques*" w r. 1949.

Tomistą jest także wybitny historyk filozofii średniowiecznej, Etienne Gilson, profesor Collège de France.

Grupą silnie tradycjonalistyczną jest tomistyczna również „*La Pensée Catholique*." W jej opinii różne tendencje nowoczesne w świecie katolickim w konsekwencji doprowadzić mogą do zamazania obrazu Prawdy, do rozkładu autentycznej tradycji i do rozwodnienia dogmatów. Podobne stanowisko zajmuje grupa młodych ludzi, skupionych dokoła Jean Ousseta i jego czasopisma „*Verbe*".

Studia katolickie żywe są nie tylko w Paryżu, ale i na prowincji. Tak np. istnieje tzw. ruch angerski — można by go nazwać nawet Szkołą Angers, — rozwijający się pod skrzydłami fakultetów katolickich zachodu Francji. Wydaje on periodyk „*La Revue des Cercles d'Etudes*", zawierający znakomite krytyczne omówienia, zwłaszcza dzieł literackich.

* * *

Ten cały wysiłek intelektualny wpływem swym wychodzi znacznie poza koło specjalistów i „wtajemniczonych". Świadczą o tym przede wszystkim czasopisma. Wspomniane już jezuickie „*Etudes*" otwierają swe łamy dla nowych prądów, ale zajęły bardzo silną postawę przeciw marksizmowi i „postępowym chrześcijanom", a także przeciw niektórym poglądom pisma „*Esprit*". W dziedzinie politycznej „postępowości" znacznie dalej „na lewo" od „*Etudes*" stoi periodyk dominikański „*La Vie Intellectuelle*", który znajduje się za to „na prawo" od „*Economie et Humanisme*". Wśród innych periodyków wymienić należy: „*Témoignages*", zajmujące się nie tylko kwestiami liturgicznymi, ale także wszystkimi aspektami myśli religijnej; „*Etudes Carmelitaines*" poświęcone przede wszystkim psychologii religijnej, życia kontemplatywnego i mistycznego; „*Jeunesse et l'Eglise*" i „*La Pensée Catholique*", o których była już mowa; „*Dieu Vivant*", czasopismo poświęcone tematom eschatologicznym; wreszcie wspomnianą już „*Revue Thomiste*". Istnieją też periodyki specjalne, zajmujące się zagadnieniami psychoanalizy, biologii i medycyny z punktu widzenia moralności chrześcijańskiej.

W szerzeniu wpływu myśli katolickiej dużą rolę odgrywają odczyty i dyskusje publiczne. Organizowaniem ich zajmuje się przede wszystkim „*Centre Catholique des Intellectuels Français.*" Niektóre z urządzanych przez tę organizację dyskusyj mają charakter „tajny" i odbywają się wśród specjalistów z danego zakresu, inne dostępne są dla publiczności. „*C.C.I.F.*" wznowiło tradycję „tygodnia pisarzy katolickich" („*Semaine des Ecrivains Catholiques*"); przez dołączenie do tych zebrań także uczonych i innych katolickich intelektualistów zamieniono je na „*Semaine des Intellectuels Catholiques*".

Reakcje młodzieży akademickiej na różne tendencje myśli katolickiej obserwować można najlepiej w „*Cercle Richelieu*". Zbierają sie tam w samym sercu Quartier Latin katoliccy studenci Sorbony pod egidą ks. Charles. Na zebraniach tych rozważa się najbardziej nawet kontrowersyjne zagadnienia myśli katolickiej; zainteresowanie problemami religijnymi jest wśród uczestników duże. Z drugiej strony znaczna liczba studentów katolickich znajduje się pod wpływami swych kolegów—marksistów z Sorbony. Flirt intelektualny z marksistami, podejmowany często z zamiarem ich nawrócenia, nie zawsze okazuje się bezpieczny, siła atrakcyjna marksizmu jest bowiem, jeśli chodzi o młodzież, znaczna. Niektórzy studenci nauk przyrodniczych, zrażeni do materialistycznego ateizmu marksistów, popadają pod wpływ idei biologiczno-socjologicznych ks. Teilhard de Chardin.

* * *

Kościół, jak zaznaczono już na wstępie, popiera niezależne studia i badania myślicieli katolickich, od czasu do czasu jednak występuje z przestrogami, a nawet z potępieniem (jak w wypadku „chrześcijan postępowych"). List pasterski Kardynała Suhard „*Le Sens de Dieu*", wydany w r. 1949, podkreślił pewne niebezpieczne wykolejenia współczesnej myśli katolickiej w jej niektórych prądach, takie jak: rozcieńczenie dogmatu; tendencja do zbytniego podkreślania poczucia potrzeb ludzkich kosztem poczucia Boga; pewna dążność do antropocentryzmu; dążność do eliminowania milczenia, tajemnicy i tak zasadniczych elementów jak kontemplacja i modlitwa; traktowanie świętości tylko jako subtelnej formy humanizmu, jako dojrzałego kwiatu osobowości; dążność do potępiania, celem uniknięcia formalizmu, wszelkiej dyscypliny duchowej i wszelkiego ascetyzmu. W liście pasterskim „*Essor ou Declin de l'Eglise*" (drukowanym w ŻYCIU w r. 1947 i 48) Kardynał Suhard potępił równocześnie i wojowniczą „postępowość" i nadmierny tradycjonalizm.

W konkluzji autor artykułu wypowiada pogląd, że proces eliminowania rzeczy nieistotnych i błędnych pojęć z francuskiej myśli katolickiej dokonać się może tylko przez pójście drogą pośrednią. Takie też stanowisko sformułował wspomniany już wyżej myśliciel katolicki, O. Daniélou, jezuita, przemawiając do młodzieży w ramach „*Conférence Saint - Michel*". Tradycjonaliści — mówił — ryzykują pomieszanie stałych elementów Historii z jej przejściowymi jedynie formami; rewolucjoniści, ze swej strony, uświadamiają sobie tylko zmienne elementy świata; mają oni słuszność w tym, że społeczeństwo ludzkie zmienia się ustawicznie, lecz podporządkowując wszystko probierzowi ewolucji, poświęcają przez to wartości zasadnicze.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

INTENCJE PAPIESKIE

Z końcem ubiegłego roku zostały ogłoszone papieskie intencje modlitw na rok 1951:

Styczeń: O zjednoczenie wszystkich w prawdziwym Kościele Chrystusa. O wzrost misyj w Afryce. *Luty:* O wykorzystanie i wzrost owoców Roku Świętego. O rozwój apostolstwa w wielkich portach Azji i Afryki. *Marzec:* W ogólnych i szczegółowych intencjach Ojca św. O katolickie wychowanie Japonii. *Kwiecień:* Za seminaria duchowne. O wzmocnienie wiary w chrześcijanach w Chinach. *Maj:* Za tych, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości. Za chrześcijaństwo w Indonezji. *Czerwiec:* O doskonalsze zrozumienie nabożeństwa do Serca Jezusowego i Niepokalanego Serca Marii w celu oparcia się dzisiejszym katastrofom. O dobre chrześcijańskie wyrobienie nauczycieli na misjach. *Lipiec:* O szerszą działalność Akcji Katolickiej poprzez zwiększony zapał duchowy jej członków. O dobre chrześcijańskie uświadomienie w Indiach. *Sierpień:* O ustanie ducha nienawiści w świecie za pomocą miłości chrześcijańskiej. Za dzieło misyjne kobiet. *Wrzesień:* O lepsze zrozumienie i umiłowanie liturgii. O chrześcijańskie i społeczne wychowanie w krajach misyjnych. *Październik:* O właściwe głoszenie słowa bożego i przyjmowanie go w duchu wiary. Za Kościół w Oceanii. *Listopad:* O wzajemne zaufanie wśród narodów przez wykorzenienie kłamstw. Za misje w Indochinach. *Grudzień:* O przepojenie nadprzyrodzonością wychowania młodzieży. Za misje w krajach arktycznych.

MASAKRA CHRZEŚCIJAN W MOKPO

Komuniści koreańscy po zajęciu okręgu Mokpo wydali rozkaz zabicia wszystkich chrześcijan, liczących więcej niż 10 lat. Jeden z katolików został ukamieniowany na śmierć. Wszystkie przedmioty oznaczone krzyżem zostały spalone lub zniszczone. Naczynia liturgiczne zamieniono na spluwaczki i popielniczki. Większości katolików udało się szczęśliwie zbiec.

OBÓZ KONCENTRACYJNY DLA KSIĘŻY

Rektor jednego z seminariów duchownych na Słowacczyźnie, któremu udało się zbiec do Wiednia, opowiedział o swoim pobycie w obozie koncentracyjnym w Bac, gdzie przebywa 104 księży świeckich i 850 zakonników. Widział on dwu biskupów unickich, którzy w podartych kombinezonach szorowali podłogę. W sierpniu 46 księży z tego obozu skierowanych zostało na 26 dniowy „kurs poprawczy". Musieli tam powtarzać wszystkie oszczerstwa na Watykan po czym poddani byli 40 godzinnemu egzaminowi. Ci, którzy „zdali" zostali odesłani do swoich parafii, resztę zaś skierowano z powrotem do obozu koncentracyjnego.

ROMUALD TRAUGUTT

ŻYCIE I MYŚL

Romuald Traugutt, ostatni przywódca powstania styczniowego, jedna z najpiękniejszych postaci polskiego panteonu narodowego, jest niestety zbyt mało znany społeczeństwu polskiemu. A jednym z dowodów niewiedzy jest to, że ten świętobliwego życia katolik, zdaniem wielu kandydat na ołtarze — wciąż jeszcze w niektórych kołach uchodzi za protestanta. Oto jego sylwetka i wybór kilku wyjątków z pism i odezw, których ton głęboko chrześcijański mało ma sobie równych w całych dziejach powszechnych, jeśli zważymy, że wyszły one spod pióra naczelnego wodza wojsk i Dyktatora...

URODZONY 16 stycznia 1826 r. w Szostakowie pod Brześciem Litewskim, wcześnie stracił matkę. Wychowaniem i urobieniem chłopca zajęła się babka macierzysta Justyna z Szuyskich Błocka, rozwijając w dziecku głęboką religijność i patriotyzm, wielkie poczucie obowiązku i ładu, cechujące odtąd całe życie bohatera. Po ukończeniu szkół w Świsłoczy, młody Traugutt udaje się do Petersburga, gdzie przezwyciężywszy wiele przeszkód z racji swego wyznania, narodowości i charakteru, kończy wydział inżynierii wojskowej.

Jako inżynier znalazł się w szeregach rosyjskich na Węgrzech 1848-49, gdzie przeprowadzał prace saperskie. Kampania ta była dla zamkniętej a wrażliwej duszy Traugutta wielkim i bolesnym przeżyciem. Wróciwszy do kraju poznał i ożenił się w Warszawie z panną Anną Pikielówną po jej uprzednim przejściu na katolicyzm (2.X.1851). Czas jakiś przebywa jako kapitan saperów w twierdzy Dęblin, zaznając w pełni szczęścia rodzinnego, przenikniętego wiarą i umiłowaniem wspólnych ideałów.

Spokojne to życie przerywa wojna Krymska i Traugutt znów znalazł się w linii bojowej obleganego Sewastopola, przeprowadzając prace ziemne i pełniąc obowiązki płatnika. Aczkolwiek raził swoich hulaszczych kolegów życiem omal ascetycznym i charakterem zamkniętym, zyskał uznanie zwierzchników za niezwykłą sumienność i uczciwość w służbie. Otrzymał awans z przydziałem do Petersburga, gdzie staje się nauczycielem matematyki jednego z wielkich książąt a równocześnie z zapałem studiuje chemię.

Staje więc wobec dużych możliwości na drodze do osobistej kariery. Tymczasem jednak w 1859 r. przeżywa ciężką stratę żony, dwojga dzieci i ukochanej babki. Sam zapada poważnie na zdrowiu. Wieści zaś nadchodzące z kraju o wzmożonym ruchu narodowym i represjach wroga, dalszy pobyt w Petersburgu czynią dlań nieznośnym. Odziedziczywszy po bracie babki, księciu Witalisie Szuyskim, niewielki majątek pod Kobryniem (Ostrowie), wraca do Polski i otrzymawszy dymisję w randze pułkownika, żeni się po raz drugi z krewniaczką Tadeusza Kościuszki, Antoniną Kościuszkówną. Zyskuje w niej opiekunkę dla swych dwóch córeczek i kochającą towarzyszkę życia (1862 r.).

Atoli nadchodzi brzemienny dla Polski rok 1863. 23-go stycznia wybucha Powstanie. Ruch zbrojny z bliskiego Podlasia przenosi się wkrótce na Polesie. Traugutt zrazu trzyma się na uboczu. Wkrótce jednak porywa go poczucie obowiązku i przyjmuje dowództwo nad formowanym przez szlachtę poleską oddziałem kobryńskim, opuszczając rodzinę, maleńkiego synka i dom, który wnet ulega konfiskacie. Wkrótce zajaśniał jego talent wojskowy, wysoki idealizm i szlachetny stosunek do wiejskiej, ruskiej ludności.

Zadaje Moskwie dotkliwe porażki pod Horkami i Bieliną. Otoczony pod Porzeczem Skirmuntowskim, po czterogodzinnej walce zręcznie wymyka się w lasy, a objąwszy jeszcze dowództwo nad mniejszymi oddziałkami Pińszczyzny, stara się podjąć wspólną akcję z oddziałami Litwy i Wołynia, mając w zapleczu Puszczę Białowieską. Przeszedłszy Horyń, pobił Moskali pod Stolinem i dopiero 13 lipca bitwa pod Kołodnem ze zbyt przeważającymi siłami zmusza go do rozproszenia oddziału. Sam, ciężko chory, zostaje uniesiony przez żołnierzy i ukryty w dworze Elizy Orzeszkowej.

Gdy się dźwignął z choroby, czymprędzej pośpiesza do Warszawy, by zetknąć się bezpośrednio z Rządem Narodowym i zaofiarować swoje usługi. Szybko zorientowano się w przymiotach umysłu i serca nieznanego dotąd Traugutta. Wysłano go z misją za granicę, aby w imieniu Rządu zlustrował działania placówek w Galicji, a potem dotarł do Paryża, by wybadać polityczne możliwości dla sprawy polskiej. Podróż ta była płodną w skutki. Wnikliwe raporty Traugutta wykazały dużą kulturę organizacyjną i polityczną. W Paryżu miał osobiście konferować z ks. Napoleonem Hieronimem i min. spraw zagranicznych Drouyn de l'Huys. Zbliżył się również do kierownika polityki polskiej Wł. ks. Czartoryskiego.

W początkach października stanął w Warszawie. Ster rządu ujęli ludzie skrajni, o silnym zabarwieniu rewolucyjnym, dając atut mocarstwom europejskim do wycofania się z gry. Z drugiej zaś strony walka narodowa mogła przejść w bratobójczą walkę społeczną. Terror, który miał podkreślić energię, wywoływał niepotrzebne represje wroga. Panowało przygnębienie i rozprzężenie. Wtedy to Traugutt sam sięgnął po władzę i 17 października 1863 r. ujął ją w swe ręce. Przede wszystkim podniósł ducha, skupił przy sobie ludzi dzielnych i ofiarnych ze wszystkich ugrupowań. Postawił na nogi rozbitą i poszczerbioną organizację. Ideolog, czysty i głęboki w manifestach swoich i odezwach, nadał właściwy ton i sens ruchowi niepodległościowemu. Oparł go na zasadach Bożej i ludzkiej sprawiedliwości, na chrześcijańskim sumieniu, na poświęceniu i ofierze — przeciwstawiając się materialistycznym doktrynom. W sprawach wewnętrznych położył nacisk na skarb i wojsko. Podjął inicjatywę pożyczki narodowej. Rozbite i wałęsające sę bez planu oddziały starał się przetworzyć w małą ale zorganizowaną armię, kierowaną, o ile się dało, przez fachowców.

Bossak, Chmieleński, Czachowski działają z nową energią i odnoszą nawet sukcesy. Traugutt w polityce wewnętrznej idzie po linii słusznych reform społecznych, ale bez rewolucyjnej demagogii. W polityce zagranicznej zrazu opiera swoje nadzieje na Francji i Napoleonie III. Gdy to zawodzi, dąży do wywołania konfliktu ogólno-europejskiego przez zaatakowanie nie tylko Moskwy, ale i Austrii drogą powstania węgiersko-polskiego w porozumieniu z Włochami. Licząc na ożywienie polityczne z wiosną 1864 r., przetrwał wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu zimę i to organizacyjnie i wojskowo. Przetrwał mimo straszliwych represji ze strony wroga i mimo podkopów klik rewolucyjnych, które walczyły z t. zw. „reakcją".

Wpada wreszcie w zagadkowy sposób w ręce Moskali w noc z 10 na 11 kwietnia 1864. Koła wywrotowe zapowiadały jego upadek, ci zaś, którzy złożyli komisji śledczej zeznania o Traugucie: Artur (sic) Goldman i Napoleon Dębicki — nigdy ani ujawnieni, ani konfrontowani w procesie tym nie byli. Traugutt przez śledztwo przechodził z wielką godnością i mocą ducha, choć czyniono wszystko, aby go złamać. Tortury okazały się bezsilne. Bohater odmówił wymienienia jakichkolwiek nazwisk, a całą odpowiedzialność przyjął na siebie. Los jego był przesądzony. Nie usiłował się bronić, tym bardziej prosić o łaskę. W ostatnim słowie wyraził wiarę w Boską Sprawiedliwość i Miłosierdzie i w prawo Polski do bytu niepodległego.

Skazany na śmierć z dodanymi sobie czterema współpracownikami, których sąd mianował na ministrów Rządu Narodowego, w głębokim zjednoczeniu z Bogiem, ze spokojem męczennika, poniósł na stokach cytadeli śmierć przez powieszenie 5 sierpnia 1864 r.

W piędziesiąt lat później, również 5 sierpnia 1915 r., skończyły się rządy rosyjskie w Warszawie. Był to pierwszy krok do Polski Niepodległej.

W hierarchii najjaśniejszych duchów Polski Traugutt zajmuje jedno z naczelnych miejsc — w charakterze swoim skupiając najpiękniejsze cnoty katolika - Polaka. Czym hetman Żółkiewski dla Polski przedrozbiorowej, tym Traugutt dla Polski powstańczej.

Bohaterstwo jego ma coś z Joanny d'Arc i Tomasza Morusa.

Jest drogowskazem i natchnieniem dla pokoleń bojowników i budowniczych narodowej Doli.

Z MYŚLI ROMUALDA TRAUGUTTA

Cel Polski Walczącej:

„....Niepodległość i ustalenie w Kraju porządku, opartego na Miłości chrześcijańskej, na poszanowaniu praw i wszelkej sprawiedliwości, udzielając obywatelom należytej swobody, bez naruszenia powagi i prawdziwej siły, jaka się władzy najwyższej, strzegącej porządku, należy".

(Traugutt przed sądem rosyjskim).

*

Do Ludów Europy:

„Polska istnieć będzie, bo istnienie jej do postępu ludzkości nie tylko jest potrzebnem, ale koniecznem: czas Zmiłowania Pańskiego nad nią, jak mocno ufamy, już nie daleki...

Jako chrześcijanie — jesteśmy cząstką tej ludzkości, dla której Chrystus krew swą wytoczył: również jak On pracować chcemy: za całą ludzkość i dla ludzkości walczyliśmy, cierpieliśmy, za całą ludzkość i dla ludzkości teraz walczymy. Krew naszą, łzy nasze i całe męczeństwo do skarbnicy losów składamy i jako wspólną od wszystkich ofiarę ośmielamy się złożyć przed tronem Przedwiecznej Sprawiedliwości.

Nie ustajemy w tej strasznej walce przeciw duchowi fałszu, tyranii i ciemności, dopóki prawda tryumfu nie odniesie...

...Odzywamy się do Was, Ludy i Rządy Europy, a odzywamy się nie głosem błagalnym i żebraczym. Nie przystoi jęczeć i błagać temu, kto występuje w imię obrażonych i podeptanych najświętszych praw ludzkości, kto z niezachwianą wiarą w najwyższą sprawiedliwość, bezbronny prawie — walczy z rozwścieczonym wrogiem".

(Manifest do Ludów Europy 1864 r.)

*

Kościół.

„Moskwa rozumie dobrze, że z katolicką Polską nie da sobie rady, to też teraz największą swą wściekłość wywiera na naszych duchowych Pasterzy".

(Do ajenta Rz. Nar. przy Watykanie, 15 lutego 1864).

„Krew męczenników płodna jest. Prześladowaniem Kościół się budował, a Bóg nie opuszczał tych, których wybrał jako godnych cierpieć dla Imienia Jego".

(Manifest do duchowieństwa 15 grudnia 1863 r.)

„Rząd Narodowy, opierając się na odwiecznych zasadach społecznego porządku, działania swoje rozpoczął, prowadzi i do pożądanego celu aż do końca prowadzić będzie w duchu posłuszeństwa dla Stolicy Apostolskiej w rzeczach duchowych, jakie się jej od kraju przeważnie katolickiego należy".

(Akcja ajencji rzymskiej).

„Prześladowanie i ucisk nie złamie ducha Pasterzy naszych. Wiernie pełniąc zadanie swego św. posłannictwa będą oni nadal przewodniczyć narodowi na drodze poświęceń dla dobra powszechnego i zbawienia Ojczyzny".

(Manifest do duchowieństwa 15 grudnia 1863).

*

Służba narodowa.

„Władza jest u nas aktem poświęcenia a nie ambicji".

„Błędne i nieszczęsne w swych skutkach jest pojęcie, że dla skupienia wszystkich sił narodu, wszystko, co się mieni być polskiem asymilować powinniśmy i we wspólnych robotach jednoczyć. Błoto i kał wszelkiego rodzaju zawsze odrzucać należy, bo to i czystych zawalać musi.

Wprawdzie ten, co brudny moralnie lub fizycznie może się jeszcze oczyścić; ale niech wprzód się oczyści, a potem do roboty staje i to nie na pierwszem, ale ostatniem miejscu, z którego trudem i poczciwością pewno prędzej do pierwszego dojdzie, jak pnąc się odrazu w górę".

*

Duchowa formacja żołnierza polskiego.

„Żołnierz polski powinien być prawdziwym żołnierzem Chrystusa: czystość obyczajów i nieskalaną cnotę, a nie swawolę i demoralizację roznosić powinien. Cnota żołnierza naszego powinna być czynną, t.j. zasadzać się na *czynach*, połączonych z poszanowaniem form przez Kościół przyjętych i uświęconych, jako objaw widomy uczuć wewnętrznych, ale bynajmniej nie uważając form za treść samą, za doskonałość chrześcijańską, bo one bez ducha chrześcijańskiego i płynących zeń czynów... będą kalać świętość religii, sprowadzając ją tylko do zewnętrznych praktyk, zupełnie niezgodnych z postępowaniem".

(Z listu do gen. Bossaka).

*

Działać wbrew trudnościom.

„W naszem dotychczasowem położeniu często nie można wielu rzeczy robić jak się rozumie i jak potrzeba: w takich razach robić co tylko można, a z resztą śmiało spuszczać się na Boga. Szczerej pracy i poczciwym chęciom prędzej czy później Bóg zawsze dopomoże i pobłogosławi... Często On nie daje tym, których kocha, wszystkich potrzebnych do roboty środków, właśnie dlatego, aby nie zapominali o tem, że co się dobrego robi od Niego pochodzi i aby sobie samym tego nie przypisywali... Człowiek ziemię uprawia, krwawo pracuje koło niej i zasiewa, ale Bóg ziarna wzrost i obfitość plonu daje... Tak więc człowiek od pracy i starań nie jest wolny i aby tylko starania i praca czystemi i poczciwemi były, o skutek ich troszczyć się nie powinien — bo ten w Bożem ręku.

Przeciwnościami i niepowodzeniem nie zrażać się: spotykane przeszkody tylko zdwojoną energię do ich pokonania wywołać powinny".

(Z listu do gen. Bossaka).

*

Źródło mocy:

„...W Bożem ręku wszystko. On to sprawia, że zamysły dumnego i niezbożnego w niwecz się obracają, a maluczcy i ostatni pierwsze miejsce zajmują. W Nim też ufamy, że nas nie opuści, chociażby i potęga wszystkich trzech wrogów otwarcie przeciw nam stanęła".

(Z listu do Wł. Księcia Czartoryskiego z dn. 8 marca 1864 r.).

CO O NAS SĄDZĄ KATOLICY ANGIELSCY?

„JESTEŚMY ROZCZAROWANI I ZGORSZENI..."

TAK się złożyło, że w tych dniach do jednego z angielskich tygodników katolickich napisałem list, który redakcja wydrukowała. List dotyczył obrządku grecko-katolickiego, a z treści jego nie wynikało, jakiej jestem narodowości. Podpisałem się nazwiskiem z podaniem adresu.

W kilka dni później otrzymałem list od pewnego angielskiego katolika, który zwrócił się do mnie o informacje dotyczące nauki języka ukraińskiego. Powziął on przypuszczenie, że jestem Ukraińcem i i pisze do mnie jako do Ukraińca.

Autor listu mieszka w dużym mieście przemysłowym angielskim i bierze udział w akcji społecznej katolicko-angielskiej, poświęconej miejscowemu skupieniu robotników-Ukraińców. Autor obawia się, by pod względem moralnym nie stało się z Ukraińcami to, co się nieraz dzieje z Polakami. Pisze dosłownie:

„Widziałem, niestety, demoralizujący wpływ angielskiej atmosfery na Polaków.

Wielu Polaków porzuciło naszą Świętą Wiarę i utonęło w otaczającej ich obojętności religijnej, przez co spowodowali wielkie zgorszenie wśród nas, angielskich katolików.

Oni nie mają pojęcia o naszej historii religijnenj i nie wiedzą, jak bardzo mogli byli nas wzmocnić. Włosi wręcz przeciwnie: zawsze mocno trzymają się Wiary."

List nie był zwrócony do Polaka i nie miał zamiaru nas urazić. Po prostu informował, co się dzieje z rozmaitymi narodowościami w mieście, w którym autor mieszka. Widać z niego jasno, jak nas oceniają katolicy angielscy: uważają nas za religijnych indyferentów. Nie jest to ocena odosobniona, ograniczona do tego jednego tylko miasta. Niestety, taką mamy opinię dość powszechnie. Pokrywa się to zresztą z tym, co nieraz na temat rozpowszechnionego naszego indyferentyzmu w polskiej prasie pisywałem i pisuję.

Odpisałem autorowi listu, zawiadamiając go, że jestem Polakiem i prosząc go, by mi zezwolił zrobić z jego listu użytek w druku. Odpisał mi, przepraszając mnie, że mógł mnie jako Polaka urazić i wyrażając zgodę. Z jego drugiego — bardzo obszernego — listu chcę podać cztery jeszcze dalsze wyjątki:

„Jestem konwertytą z protestantyzmu i gdy zostałem katolikiem, musiałem przejść przez szereg drobniejszej natury cierpień. Protestancki duchowny wciąż jeszcze odwiedza moją matkę; właśnie znów ogłosił w pisemku parafialnym, że przyjął na łono Kościoła anglikańskiego Polaka, Kazimierza L....... Może Pan sobie wyobrazić moje uczucia, gdy widzę tego duchownego, a widuję go często. A ja wiem, że ten L...... namawia również swoich polskich kolegów, by także stali się odstępcami. Bez przerwy czyta się w prasie obwieszczenia o ślubach, zawieranych przez Polaków w kościołach protestanckich. Trzeba powiedzieć, że żadnego Włocha o odstępstwo od Wiary oskarżyć nie można."

„Wielu Polaków stało już przed sądami policyjnymi za obcowanie płciowe z dziewczętami nieletnimi. Czy może Pan się wobec tego dziwić, że my, angielscy katolicy, jesteśmy rozczarowani i zgorszeni przez naszych braci Polaków, którzy spychają naszą Świętą Wierę do rynsztoka?"

„Niech się oni zainteresują dziejami katolicyzmu angielskiego, niechże się dowiedzą o heroicznej walce, toczonej tu przez 350 lat prześladowań, dla utrzymania naszej Świętej Wiary przy życiu!"

„Ilekroć czytam obwieszczenie w prasie o małżeństwie Polaka w protestanckim kościele, albo o Polaku składającym podanie o obywatelstwo brytyjskie, posyłam mu małą książeczkę do nabożeństwa w języku polskim i parę ulotek katolickich, by mu przypomnieć o Wierze, którą powinien był w tym kraju wesprzeć!"

Nie przytaczam zawartych w tym liście komplementów pod adresem Polski i innych Polaków, bo to jest już inny temat. List pochodzi od człowieka dobrej woli, który bynajmniej nie jest nam nieprzyjazny.

Spostrzeżeń autora listu, rzecz prosta, nie należy uogólniać. Ale nie można ich także lekceważyć. Uważałem, że dobrze będzie podać je do szerszej wiadomości — ku zastanowieniu. Abyśmy wiedzieli, co obcy o nas i o naszym środowisku czasem sądzą.

Jędrzej Giertych

MARIA WINOWSKA

(2)

DROGA *)

Fragment powieści

Niepostrzeżenie Piotr przesunął na barki cały ciężar krzyża, tak że drepcąca przed nim kobiecina niosła go raczej symbolicznie. Powietrze było świeże, rzeźkie, przedranne. Droga wciąż pięła się ku górze i była coraz dziksza. Kamienne tafle, wgłąb wdeptane, porastał mech i wrzos. Na lewo mijali pieczary i ławki, wyciosane w kamieniu, podłużne i wąskie pod skalnym okapem. Gdzieniegdzie ślady ognisk świadczyły o postojach pielgrzymów.

— Śpią tu sobie niebożęta, gdy noc ich zaskoczy lub deszcz — tłumaczyła staruszka. — Niektórzy idą z daleka i mają nogi we krwi. Są tacy, co sztykulają na kolanach, odbitych do kości. Dużo krwi wsiąkło w tę ziemię: krew świętych i krew grzeszników. Krew za krew.

Zrazu cichy i coraz głośniejszy tupot skandował nocną ciszę. Minęła ich najpierw jedna kobiecina na obładowanym torbami osiołku, potem druga, trzecia. Dziwaczna para niosąca krzyż nie zrobiła na nich najwidoczniej najmniejszego wrażenia. Jedna z kobiet, zażywna jejmość w szerokim, słomkowym kapeluszu przyjrzała się starowince i zawołała cienkim głosem: „Ave Maria purissima" *Sense pecat concebuda* odparła staruszka i zagadała żwawo, wskazując palcem Piotra. *Pobret!* westchnęła jejmość i piętą przynagliła wierzchowca.

— To kobiety z Colbató — tłumaczyła Piotrowi — niosą na sprzedaż co popadnie: owoce, jarzyny, ser i jaja. Pielgrzymi kupują chętnie i płacą dobrze. Idą rano, żeby zdążyć. Niektóre znają mnie. Bo widzisz, synku, szósty rok ja tak chodzę, raz na miesiąc, pogoda czy deszcz. Córki śmieją się ze mnie i mówią, żem niespełna rozumu, *tocada del bolet*, ale wiesz ty przecież co mówi Pismo o głupocie krzyża! Kto już raz się zdecyduje iść za Panem Jezusem, tego prędzej czy później wezmą za wariata, a może jest on nawet dla świata wariatem, na to nie ma rady! Mówią mi córki: czemuż żyjesz jak żebraczka, gdy mogłabyś żyć, jak pani? Już im nawet nie odpowiadam, bo by mnie nie zrozumiały! Powiedz mi, synku, jak żył Chrystus, jak? I powiedz mi, jak umarł? Biedny On był, czy bogaty? Robotnik czy pan?

— *Déu us guard, senora Maragall.* Bóg z wami!

Nie słyszeli jego kroków. Stanął nagle tuż obok, mały, zgarbiony, uśmiechnięty. Z ogorzałej twarzy patrzyły jasno dziecinne oczy. Głowę miał lekko pochyloną na bok. Podniesione brwi dawały mu wyraz zakłopotania.

— *Déu us guard.* Tożto Trini, *el fuster;* stolarz klasztorny. Był on we Francji podczas wojny domowej i mówi po francusku. No, pokaż, Trini, że mówisz po francusku! Widzisz jakiego dużego syna dała mi Moreneta? Biedniaczek on: głodny, spragniony, niewyspany. I patrz, jaki dobry, jak mi pomaga, choć ślub jest mój, nie jego. Ale wiesz co mi powiedział? Że Moreneta pochwali go za to: więc jakżeż miałam mu odmówić, jak?

Trini wciąż się uśmiechał i patrzył uważnie na Piotra.

— Mój dom jest twoim domem — powiedział okropną francuszczyzną — a jeśliś głodny, to dam ci zaraz jeść: mam ser, wino i chleb.

Staruszka wypuściła drąg i aż klasnęła w dłonie z radości:

— Słyszysz, syneczku? Ma wino i ser? A ty taki głodny, biedneńki: *pobret!* Przysiądziemy chyba chwileczkę, pokrzepisz się i odpoczniesz. Już mamy niedaleko do św. Michała, a potem jak z bicza trzasł. No, mówże do niego po francusku, pokaż, że umiesz.

Trini nie był wcale stary, tylko miał zwiędłą twarz. Usiadł na kamieniu, rozwinął na kolanach dużą chustkę, wyjął chleb i ser, odpiął od pasa bukłak skórzany, podał Piotrowi z dobrym uśmiechem.

— *Que profiti* — niechże ci będzie na zdrowie.

Gdy Piotr go częstował, odmówił. Staruszka tłumaczyła mu coś z zapałem. Słuchał patrząc już to na nią już to na Piotra.

— Ta pani powiada, że ciebie nie zna, ale ręczy za ciebie. A choćby nawet nie ręczyła, to i tak bym cię zabrał do siebie. Żona moja pomarła, dzieci ja nie mam, więc jeśli chcesz, będziesz mi za syna. A żandarmi *guardias civiles* u nas nie chodzą lub mało kiedy, wiadomo: święta góra. Mam ja mały kawalerski pokoik, tuż koło klasztoru, ale cały dzień mnie nie ma bo pracuję w warsztacie. A na niedzielę idę do Esparraguery, mam tam ogród i dom.

Piotr teraz dopiero zdał sobie sprawę, że ani staruszka, ani Trini nie zadali mu dotąd ani jednego pytania. Wzruszyła go ta delikatność. Ser smakował mu, jak chyba nigdy nic w życiu, wino jakby wprost do żył spłynęło błogim ciepłem. Poczuł nagle do obojga bezbrzeżne zaufanie.

— Jestem Polakiem — odpowiedział — uciekłem z więzienia, byłem na śmierć skazany. Gdybym wpadł w ręce Niemców, zaraz by mnie rozstrzelali. Słyszałem, że i tutaj, blisko granicy, chodzą gestapowcy. Gdyby mnie poznali, kazaliby Hiszpanom przerzucić mnie do Francji...

Spojrzeli po sobie.

— Polak! — zawołał Trini — my także mamy Polkę: la Polaca de Montserrat. Także przyszła przez góry, mieszka u Męczenników. Ma włosy takie jasne jak ty. Całkiem dobrze mówi po naszemu. Polak! Ty pójdziesz do ojca Anzelma. Zaraz cię zaprowadzę do ojca Anzelma. Nie bój się: Moreneta nie da cię skrzywdzić. Nie pierwszy to raz i nie ostatni ratuje znękanych, szczęśliwy, kto do niej trafi!

Piotr już miał na ustach pytanie: „Któż to jest Moreneta", gdy nagle zrozumiał. Więc zapytał inaczej:

— Co znaczy Moreneta?

Trini roześmiał się:

— Prawda, żeś ty z daleka! Moreneta to znaczy „czarnuszka" — „*la Vierge Brune*". Ciemna ona, ogorzała od słońca: „*nigra sed formosa*". ...

(„Co za dziwny kraj, pomyślał Piotr: nawet stolarze gadają po łacinie?")

Już zbierali się do drogi, gdy doleciał ich przeciągły, przejmujący śpiew.

— Pewnie jakaś *romeria* — pielgrzymka, powiedziała staruszka — przepuśmy ich, zobaczymy kto taki.

Na zakręcie zjawił się rosły, ogorzały mężczyzna w czarnym powłóczystym stroju i z sumiastym wąsem. Trzymał oburącz ogromny, drewniany krzyż. Dwaj towarzysze ubrani podobnie podtrzymywali go z obu stron. Krzyż musiał być bardzo ciężki: drżały mu widocznie ręce. Zanim ich wyminął, zluzował go kto inny. Cała grupa mężczyzn idących przodem miała na sobie coś w rodzaju czarnych habitów, spiętych skórzanymi paskami. Dalej szły młode, ładne dziewczęta w białych welonach na głowie. Za nimi ciżba bezładna: drepcząca, depcząca po piętach, kolorowa. Świtało właśnie i blask księżyca przechodził zwolna w seledyn. Na dalekim widnokręgu złociła się smuga światła.

Wśród pielgrzymów było sporo drobiazgu. Matki w mantylach na głowie ciągnęły bezceremonialnie zaspane dziewczynki o dużych, łagodnych, sarnich oczach. Przeważały kolory jaskrawe: czerwone, zielone i żółte. Kobiety były na ogół niskie i krępe, dzieci — prześliczne. Śpiewali dziwną, rzewną pieśń. Na samym końcu korowodu szło trzech księży w komżach, z otwartymi brewiarzami w ręku.

Mimo zmęczenia Piotr patrzał uważnie na szorstkie, skupione twarze. Twarde, zgrubiałe ręce świadczyły o pracy na roli. Widać niesienie krzyża stanowiło jakiś nieodzowny punkt ceremoniału; przechodził on z rąk do rąk wszystkich mężczyzn biorących udział w pielgrzymce. Kilku niedorostków niosło uroczyście jakieś szkatułki i poduszki. Dziewczęta zawodziły cienko i przez nos. Wszyscy niemal, prócz przodowników, dźwigali w ręku pokaźne kosze i zawiniątka.

— Dobrze, że Trini cię przygarnie — uśmiechnęła się wstając staruszka — pełno będzie ludzi na Matkę Boską Wniebowziętą, bywa, że nocują gdzie popadnie, często pod gołym niebem. Ale któżby żałował zmęczenia dla Morenety?

Powiedziała te słowa tonem tak żarliwym, że Piotra ścisnęło za gardło. Przypomniał sobie ostatnią pielgrzymkę na Jasną Górę, ogarnęła go jak wicher fala wspomnień. Przez chwilę szedł nic nie widząc, zapatrzony w siebie.

— Ot i święty Michał — zawołała staruszka wciąż podpierając symbolicznie przecznicę krzyża, który Piotr niósł tym razem całkiem samodzielnie. Opowiedże mu, Trini, o pustelnikach —

Na lewo drogi, szerszej w tym miejscu i bardzo wyboistej, stał mały, kwadratowy budynek, odwrócony tyłem.

— Nie ma tam dzisiaj pustelników, — powiedział Trini — odkąd ich wymordowało wojsko Napoleona już nie ważą się osiedlać na takim pustkowiu. Jeszcze tylko na górze, nad klasztorem, jest parę pustelni, zamieszkałych latem. Ale dawniej, przed wiekami, pełno tu było pustelników. Zostały po nich kapliczki, rozsiane po górach: Sant Joan i san Miguel, sant Benet i santa Catarina, sant Geroni i sant Aciscle. Jak kto z Bogiem co dzień gada, to chciałby coraz bardziej być z nim sam na sam. Już mu nie wystarcza milczenie klasztoru. Wtedy idzie do Ojca Opata i mówi mu: „Ojcze, daj mi obediencję na pustkowie". Nie byle komu Opat pozwala! Wypróbowany musi być, w cnotach dojrzały, do walki duchownej zaprawiony. Bo na pustkowiu czeka nań nie tylko Pan Bóg, lecz i diabeł. . .

Milczał chwilę i dodał jakby zawstydzony: „Bo widzi Pan, ja jestem także oblatem".

Szli teraz samym skrajem przepaści, obrośniętym w krzewy przypominające bukszpan. Słońce wstało, ogromne i czerwone, jakby trochę pijane. Białe bulwy stłoczonych szczytów złociły się w zakosach promieni. Powietrze było tak przejrzyste, że wzrok sięgał aż po ciemny kontur lasu hen na widnokręgu, rzekłbyś malowany japońskim piórkiem. Aż dziw, że można było rozeznać tyle drobnych szczegółów w tak wielkiej odległości. Jakby na komendę buchnęły trele różnolitego ptactwa.

— Popatrz, synku — staruszka wskazała na lewo — tą oto ścieżką dojdziesz do jaskini, w której święty Ignacy Loyola pokutował, po nawróceniu. Miał on w klasztorze swojego ojca duchownego i codzień do niego chodził. Wiesz od czego się zaczęło? Że jakowyś niecny poganin zbluźnił na gościńcu, sromotnie ubliżając Niepokalanej, więc zeźlił się Inigo i chciał go rozpłatać na dwoje. Ale zaraz poszedł po rozum do głowy i oświeciła go łaska, że przecież w ten sposób Saracena nie nawróci! Tedy wstąpił na świętą górę, odprawił rycerską wartę i ślubował odtąd służbę najsłodszej Morenecie. Opatowi miecz oddał i zbroję, z żebrakiem u wrót kościoła strój zamienił, z wielkim płaczem z całutkiego życia się wyspowiadał i zaczął iść drogą stromej pokuty. Wybrał sobie za mieszkanie jaskinię, z której widać było klasztor (dziś krzewy ją zarosły). Tak się biczował i tak się głodził, że opat przeląkł się o jego zdrowie i posłał do niego trzech zakonników, którzy prosili go bardzo serdecznie, by dał folgę pokucie i zamieszkał w klasztorze. Święty Ignacy zawstydzony, że podpatrzyły ludzkie oczy co było tajemnicą króla, odszedł nocą do Manrezy, widzisz to miasto? O, tam! Te szare domy... i już pozostał. I tylko od czasu do czasu wstępował na górę do swojego ojca duchownego, który święty był i do świętości go prowadził."

Droga schodziła w dół, wyrąbana w skalnym stoku, między przepaścią i pionową ścianą. Nagle, na zakręcie, po przeciwnej stronie jaru, zjawił się w jasności wschodzącego słońca klasztor.

Jak pęk jaskółczych gniazd przywarł do framugi skalnej, ocieniony stromą ścianą, z przepaścią u stóp. Wydawało się z daleka, że nie ręce ludzkie dźwignęły go na wysokość tak zawrotną i zda się, niedostępną. Było to pierwsze wrażenie chwytające za gardło i nierealne jak senna zjawa. Piotr stanął i mimowoli krzyknął ze zdumienia. Ta noc, spotkanie, kobieta z krzyżem na ramionach, zmęczenie, przejścia ostatnich dni wprowadziły go w stan dziwnego oszołomienia i już nie wiedział, czy widzi na jawie, czy śni. Na towarzyszach, otrzaskanych z tym widokiem, kamienne dziwo rozzłocone słońcem nie zrobiło większego wrażenia. Kobieta przeżegnała się pobożnie i głosem dziwnie dźwięcznym i młodym (wysrebrzało go może górskie echo) zaczęła:

Déu us salve, Maria. . .

Stolarz zdjął beret, odpowiadał z wielkim skupieniem. I nagle jak skowronek wzbił się w niebo jasny głos sygnaturki. Dzwonił rzeźko i radośnie, nagląco i mocno, prowokując odzew jaru, obijając się jak piłka o pionowe ściany.

— Idą na mszę „escolanets" — objaśniła staruszka — wiesz kto to taki? Po kastylsku „monaguillos": mniszęta. . ."

Piotr wprawdzie nie zrozumiał, ale nie chciał pytać, zasłuchany w apel świętej góry. I nagle przeszyła go myśl, aż bolesna tajemniczą oczywistością, że tu oto, na tym wąskim cyplu skalnym, zdecyduje się jego los.

Oderwał oczy od rozśpiewanego klasztoru, spojrzał na towarzyszy, którzy wciąż jeszcze szeptali niezrozumiałe paciorki. Kobieta uśmiechnęła się:

— A teraz, synku, oddaj mi krzyż. Już i tak niosłeś go za długo, nie wiem co powie na to Moreneta, choć prosiłeś mnie w jej imieniu. Ale ja myślę, że naprawdę ona mi ciebie przysłała, bo gdy cię spotkałam, czułam się bardzo zmęczona i nie wiedziałam, jak dojdę. Więc byłeś mi naprawdę Cyrenejczykiem, to ci teraz mogę rzec! Ale na ostatek poniosę go sama. Kto wie, jak Moreneta wywdzięczy się tobie? Bo przecież niosłeś go dobrowolnie. . .

Ujęła drzewce, które Piotr oparł o ziemię, pod ciężarem zgięła się wpół. Gdy Piotr próbował protestować, przecięła łagodnie i stanowczo:

— Pozwól, synku! Mam ja dużo długów, i nie tylko swoich!

Schodzili teraz serpentyną, ocienioną pękami krępych drzew, warujących przy stromym stoku. Piotr zauważył ze zdumieniem, że mały stolarz nie próbował nawet pomóc ani wyperswadować kobiecie, aby nie dźwigała ciężkiego drewna. Szedł obok, statecznie, lecz ani jednym gestem nie dał do zrozumienia, że solidaryzuje się ze stanowiskiem Piotra. Widocznie uważał tę kobietę uginającą się pod krzyżem za zjawisko całkiem naturalne. Nie tłumaczył swoich myśli. Może nawet nie umiałby wytłumaczyć. Któż by kwestionował wiekami uświęcony zwyczaj? Piotr poczuł się nagle, jak intruz, wchodzący w świat nieznany i pełen niespodzianek.

Minęli na lewo figurę świętego Franciszka, tak prostą w ujęciu i ubogą, jak głos, wołający na pustyni. Pierwszy raz Piotr zetknął się w sztuce ze swoistym stylem, który świadomie pomija i lekceważy zewnętrzne efekty i całą mocą trudnych skrótów zwraca się na wewnątrz. Stolarz Trini wskazał brzydką, szarą budowlę, rozsiadłą jak kwoka na skalnych krąglakach: „Stacja kolejki zębatej, do pustelni Jana Shrzciciela. A tam dalej, na prawo kolejka do Santa Cova (święta kotlina). Ten wysoki dom przed nami, to nowa Gospoda opata Olivy. Przejdziemy kładkę i teraz na prawo. Przyjechał pociąg z Monistrol, z pielgrzymką. Jeszcze tylko schodami w górę, koło garażu i zaraz będzie kościół".

Staruszka przystawała co chwila, dysząc ciężko. Gdy Piotr dyskretnie próbował jej pomóc, nie mówiła nic, tylko patrzała nań błagalnie... Dziękowała uśmiechem, że nie nalegał. Weszli na asfaltowaną szosę, przegrodzoną zwodzonym łańcuchem. Ze stacji wysypał się barwny i rozkrzyczany tłum. Kolejka pykała mocno i dobitnie, wydmuchując nieprawdopodobne kłęby czarnego dymu. Wśród pątników było mnóstwo dzieci, nawet zupełnie małych, w ramionach matek, lub częściej jeszcze, ojców. Z wielkim jazgotem pięli się schodami wyżłobionymi w caliźnie stoku, między garażem i kilkopiętrowym domem zajezdnym, z którego bił stłumiony gwar. Nikt nie zwracał specjalnej uwagi na obarczoną kobietę i jej towarzyszy. Piotr zmartwiał na widok trzech *guardias civiles*, którzy siedzieli niedbale na parapecie paląc papierosy. Trini szepnął: „Niech się Pan nie boi! Oni tu nikogo nie sprawdzają, za dużo by mieli roboty. U Morenety — dodał z dumą — każdy jest bezpieczny".

Szli pod górę wolno, zatrzymując się co krok. W tłumie buchnął nagle przejmujący, trochę nieskładny śpiew. Gdy stanęli nareszcie na szerokiej esplanadzie („Nigdy nie byłbym przypuszczał, że jest tu tyle miejsca" — myślał Piotr), rozwinął się przed nimi długi wąż pielgrzymiego pochodu, z ogromnym krzyżem na czele. Szedł wolno, śpiewając, ku potężnej budowli, rozwartej ramionami pięciu bram. Zdawała się wyrastać organicznie ze skalnego tła, jednej z nim barwy i podobnego kroju, przysadzista i pękata. Ciężka, czworograniasta wieża wyglądała jak jedna z pobliskich, kamiennych bulw, naprędce obciosana. A może to cyklopie gniazdo było ostatnim etapem ewolucji okalających je gór, gór z nieprawdopodobnego zdarzenia? Miało w sobie coś z potęgi żywiołu, gdy obłe krąglaki, warujące półkręgiem jak sfora olbrzymów, rzekłbyś wyszły z ludzkich warsztatów. „Nigdzie chyba jak tu człowiek nie żeni się z krajobrazem" — pomyślał Piotr i odrazu skarcił się za myśli tak mało zgrane z nastrojem rozmodlonego tłumu. Któryś z przewodników zaczął odmawiać po łacinie litanię do Matki Boskiej. Z wielką mocą odpowiadał mu chór: „ora pro nobis". Minęli głęboką, sklepioną bramę — przypiekające coraz bardziej słońce nie wyssało stąd jeszcze nocnego chłodu — i stanęli na wielkim dziedzińcu, otoczonym arkadami. Fasada kościoła miała styl niezbyt zdecydowany architektury XIX wieku. Olbrzymia brama była naoścież otwarta i stał w niej, na czarnym tle, krępy zakonnik w złocistej kapie, którą podtrzymywały z obu stron śliczne chłopięta w białych komeżkach do samej ziemi, jakby wyjęte z obrazu Murilla. Po obu stronach było więcej chłopców, podobnie ubranych, z dużymi, woskowymi świecami w ręku. Jeden z nich zaczął cudnym sopranem: „Suscepimus Deus...:...

...misericordiam tuam — podchwycili inni — in medio templi tui....."

Po chropawych i bardziej nabożnych niż foremnych pieśniach tłumu ten prosty wątek gregoriański, nieskalanie czysty, brzmiał jak apel z innego świata.

II. MORENETA

Przed chwilą tak karnie stąpający tłum walił się teraz w głąb kościoła niby wezbrana rzeka. Zwłaszcza kobiety pchały się na wyścigi, radząc sobie zgoła bezceremonialnie łokciami. Raz w mrocznej nawie gnali pędem ku przodowi, by czymprędzej zająć najlepsze miejsca. Daleki ołtarz jarzył się od świec.

Stali w przedsionku, by przepuścić pierwszą falę. Stara kobieta miała oczy wpółprzytomne i dyszała ciężko. Piotr torował jej drogę: przytrzymał ciężkie żelazne skrzydło bocznej furty, pomógł jej wejść. Po obu stronach głównej nawy tuliły się wieńcem kaplice, odgrodzone wysoką, misterną kratą, napół odchyloną. Kobieta weszła do drugiej na lewo i delikatnie, z wielką pieczołowitością jak żywą osobę, oparła w kącie, tuż przy konfesjonale, pokutny krzyż. Uśmiechnęła się do Piotra:

— Zostaniesz chyba na mszy, synku? Zaraz potem pójdziemy pokłonić się Morenecie i Trini zabierze cię do siebie. Pogadam z Ojcem Anzelmem, będzie dobrze, zobaczysz.

Piotr słuchał, jak przez sen. Czuł się straszliwie zmęczony. Spojrzał w błagalne oczy staruszki — i nie mógł odmówić.

— Powiedz mi synku, jak ci na imię? Jak mam mówić o tobie do Morenety? Pierre? Pere... Bo mnie na imię Maria Antonia: pamiętaj w memento!

Uklękła w rogu kaplicy i skinęła na Piotra: „Idźże teraz na prymarię mniszął. Podoba się tobie. Już ja ciebie potem odnajdę.

Kościół był bardzo ciemny, choć na dworze jarzyło się słońce. Piotr miał zrazu pokusę usiąść w głębi i zdrzemnąć się na ławce. Zawstydził się jednak i zaczął iść w głąb ogromnej nawy. Zerknął zrazu jeszcze na staruszkę, klęczącą nieruchomo w kaplicy, rozświetlonej migotem dwu świec. Miała oczy zamknięte, ręce lekko wzniesione i na twarzy wyraz straszliwego cierpienia.

Pierwsze rzędy były gęsto nabite obfitymi ciałami rozłożystych jejmości. Wśród pielgrzymów rozlegały się coraz to niezbyt ściszone szepty. Jakiś dzieciak zapłakał żałośnie... Piotr zobaczył w kącie pod amboną zapomniany klęcznik, poniósł go bliżej ołtarza, ukląkł („jeśli siądę, zaraz usnę") i rozejrzał się po kościele.

Był ogromny, w kształcie bazyliki, i bardzo mroczny. Po obu stronach głównego ołtarza krzątali się jacyś braciszkowie. Piotr spostrzegł ze zdumieniem, że główne oświetlenie prezbiterium stanowią świece. Z wysokiego sklepienia dwaj zakonnicy spuszczali olbrzymie, rosochate pająki, najeżone mnóstwem świec, które oto zapalano kolejno, bardzo sprawnie. Pomagały białe chłopięta, z nietajoną uciechą. Gdy skończyli, kilkaset płomyków złotymi rojami opasało ołtarz. I teraz dopiero Piotr zauważył wysoko nad ołtarzem złotą wnękę, rozgorzałą jak olbrzymia monstrancja wpośród świetlnej chmury. Niewidzialny reflektor przydawał blasku, ale z dołu wydawało się, że jedyne oświetlenie stanowią świece. W złotej wnęce czerniała figura, niewielka z tej odległości, której kształtu ani rysów Piotr nie mógł rozeznać, ale zrozumiał, że to Moreneta.

Był zaskoczony tą orgią świetlaną najprymitywniejszego rodzaju. „Jak za króla Ćwieczka — pomyślał — od tysiąca lat nic tu się nie zmieniło. Tak samo cierpliwie zapalano świeczkę za świeczką, gdy pełnił tu swoją wartę rycerską święty Ignacy... Tak samo migały wokół ołtarza te złote pszczoły, żywe płomienie..."

I nagle, po raz pierwszy w życiu, zrozumiał, że elektryczność jest martwa.

(Dokończenie nastąpi)

*) Początek fragmentu p. ŻYCIE Nr 2 (186) z 7.1.1950

ROK II | ŻYCIE AKADEMICKIE | Nr 11 (19)

Od Redakcji

Z okazji Nowego Roku zasyłamy serdeczne życzenia wszystkim naszym Koleżankom i Kolegom, oraz Czytelnikom Życia Akademickiego.

Z przykrością musimy donieść, że z powodu braku miejsca połowa materiału spoczywa w teczce redakcyjnej. Przepraszamy wszystkich Kolegów, których prace jeszcze się nie ukazały. Mamy nadzieję, że w przyszłości zostaną wydrukowane. Również z tych samych powodów uległy chwilowej likwidacji cztery działy: kronika sportowa, dział informacji z życia studentów w Niemczech, z życia studentów za żelazną kurtyną i wiadomości o studentach-emigrantach z Europy Środkowo Wschodniej.

HOLANDIA PRZEDSTAWIA SIĘ

Polski ośrodek akademicki w Holandii jest jednym z najmniejszych w Europie. Tym niemniej warto chyba o nim usłyszeć, choćby dlatego, żeby się dowiedzieć, że taki istnieje.

W owym kraju wody, tulipanów i malarzy znajduje się dziewięciu polskich studentów. Oprócz pięciu, którzy studiują na katolickim uniwersytecie w Nijmegen, reszta jest rozrzucona po całym kraju, każdy na innym uniwersytecie. Zdołali oni jednak nawiązać wzajemny kontakt, który ostatnio bardzo się zacieśnia i ożywia. Większość dostała się na uniwersytety kilka lat po wojnie i są obecnie na drugim lub trzecim roku studiów. Jeden tylko — ze starej emigracji — jest już na ukończeniu.

Studenci z emigracji powojennej są wszyscy stypendystami. Środków materialnych (bardzo skąpych) dostarcza im Fundacja Św. Radbonda, Uniwersytecki Fundusz Azylu lub lokalne organizacje studenckie.

Mimo zawsze widocznego dna kieszeni robota idzie. Mam na myśli nie tylko składanie egzaminów, lecz również współpracę, czy to wzajemną między sobą, czy też na szerszym polu. W Nijmegen już od dłuższego czasu istnieje dobrze pracujące koło VERITAS, niedawno zawiązało się w Holandii Koło ZSP z tymczasową siedzibą w Nijmegen. Studenci czynnie współpracują z Polskim Towarzystwem Katolickim (organizacją, jednoczącą polską emigrację w Holandii), z prasą („Polak w Holandii" — mutacja Gazety Niedzielnej), z nowopowstałym Kołem Akcji Katolickiej. Nie usiłują jednak tworzyć ghetta na gruncie holenderskim, lecz współpracują z różnego rodzaju tutejszymi organizacjami.

W przeciwieństwie do Wielkiej Brytanii, gdzie olbrzymia większość studentów polskich przygotowuje się do zawodów technicznych, w Holandii prawie połowa studiuje nauki polityczne i społeczne. Zainteresowaniem cieszą się również historia, filozofia, ekonomia, fizyka. Jeden tylko studiuje elektrotechnikę.

Szkoda tylko, że holenderski rynek pracy jest mało chłonny, że Holendrzy po otrzymaniu dyplomu całymi miesiącami muszą szukać zajęcia i że przynajmniej kilkumiesięczne szukanie pracy czeka polskich studentów, kiedy im się uda uzyskać dyplom.

M. Albiński (Nijmegen)

M. DUBANOWICZÓWNA

ZDRADA AGNOSTYKÓW

„Panie, do kogóż pójdziemy? — Słowa Żywota masz..." wołał ze zwykłą sobie żywością Szymon Piotr, gdy Chrystus spytał, czy i oni — wybrani Jego uczniowie — chcą odejść. Pytał ze smutkiem, widział bowiem jak odwracały się odeń rzesze — a niedawno jeszcze chciały okrzyknąć Go królem — zniechęcone nauką, która wydawała się ludziom za trudna. Zrozumieć jej nie chcieli, ani przyjąć.

Św. Piotr stał się opoką, na której Chrystus założył Kościół swój Powszechny, dając mu posłannictwo, moc i światło ku szerzeniu Królestwa Jego, zanim nie urzeczywistni się ono w pełni wtedy, „gdy nastaną nowe niebiosa i nowa ziemia", te w których królować będzie sprawiedliwość.

Tak więc nie przyrzekł nam Chrystus, nie przyrzekł jednostkom, społeczeństwom ani ludzkości spełnienia się Utopii na ziemi. Owszem zapowiedział, że biednych między sobą zawsze mieć będziemy i że pszenica i kąkol rosnąć tu będą razem splecione korzeniami tak, że wyplenić się nie da kąkolu, ani oddzielić od pszenicy inaczej jak dopiero na końcu — po żniwach — gdy rejestr spraw ludzkich zamknie On sam.

Nie przyrzekł nam Chrystus, że osiągnąć się nam uda tu szczęście pełne, choćby materialne tylko, za pomocą genialnych dokonań umysłu ludzkiego. Inna rzecz, czy samo szczęście materialne miałoby jakieś większe znaczenie dla integralnej duszy człowieka. Tym wszakże, „którzy wierzą w Imię Jego, dał moc, aby się stali Synami Bożymi," i pokój im przyrzekł dać Swój.

A jednak od zarania dziejów cywilizacji ludzkiej dążymy do wcielenia upragnionej Utopii. Budujemy ją wciąż od nowa na podstawie najsprzeczniejszych systemów, teorii, doktryn. Nie ma w tym logiki, koordynacji myśli i działania, jest wieczny entuzjazm. Niezrażeni historią klęsk i zawodów, równie długą jak dzieje ludzkości, wierzymy wciąż w urzeczywistnienie się nam —mirażu. Bo z każdym przychodzącym na świat człowiekiem rodzi się na nowo wiara w szczęście wraz z nieprzepartym instynktem dążenia ku niemu.

Nic więc dziwnego, że nie byli popularni chrześcijańscy filozofowie gdy wskazywali, że ustrój idealny — gospodarczy, społeczny, polityczny — jest a priori nie do urzeczywistnienia ,bowiem tkwi w każdym z nas pierwiastek zła, wpleciony w istotę naszego świata.

Nie znaczy to jednak wcale, że walczyć ze złem nie trzeba, ani że walka ta nie będzie skuteczną. Wprost przeciwnie.

Myśliciele chrześcijańscy narażali się często na zarzuty nieuzasadnionego sceptycyzmu, ciasnoty koncepcji, małoduszności. Bo przecież Postęp miał niejako mechanicznie, w kolejnych stadiach ewolucji, wyeliminować zło z człowieka i ze świata i stworzyć warunki idealnego życia. Zbawić ludzkość miały kolejno Postęp, Liberalny Humanizm, Nauka — ileż wkładano w to ufności i entuzjazmu!

A dziś? Jesteśmy w rezultacie nad skrajem przepaści.

Neo-pogańscy filozofowie dnia dzisiejszego melancholijnie patrzą wstecz: w XIX-towieczny Liberalizm, w epokę Rewolucji francuskiej i dalej jeszcze w czasy klasycznej myśli słonecznej Hellady. Sprzeniewierzyli się naraz swej tradycji: utracili nadzieję. Odrzucili wiarę w Boga a dziś nie stać ich już nawet na wiarę w człowieka. Jest to oczywista konsekwencja: wiara w ludzi, prawdziwa ku ludziom miłość płynie z jednego tylko źródła. Płynie z uznania Boga i z miłości ku Niemu.

I niewiele pociechy znaleść dziś mogą neo-pogańscy mędrcy w filozofii B. Russell,a, swego mistrza, którego jedynym dogmatem jest sceptycyzm. „Nauka to jest to co wiemy, filozofia jest tym czego nie wiemy", powiada B. Russell i rzuca swą ekskomunikę na wszelkich wyznawców dogmatów: „żądanie pewników jest wrodzone człowiekowi, jest jednak intelektualnym przestępstwem." Znaczyłoby to więc, że dążymy wciąż, nieprzeparcie, do tego co według kategorii intelektu jest przestępstwem, jest złem. I że człowiek z natury swej skazany jest — nieodwołalnie — na zło.

Jakżeż posępna i smutna jest ta konkluzja filozofii, której cnotą jest rozpacz i która zna to czego nie zna!

A. Koestler, pisząc o obecnej nauce B. Russell'a powiada, że streścić by ją można w paru punktach. Oto, według B. Russell'a, zanim obecne stulecie dobiegnie końca, spełnić się musi jedna z następujących możliwości:

a) Eksterminacja rasy ludzkiej,
b) Powrót do barbarzyństwa,
c) Zjednoczenie świata pod jednym tylko rządem, który posiadać będzie monopol sił zbrojnych.

Trzeba przyznać, że żadna z powyższych ewentualności nie wydaje się bardzo zachęcająca, zwłaszcza jeśli ostatnia z nich — zjednoczenie świata pod jedyną władzą — spełnić się wprawdzie może w drodze przyjaznych negocjacji, w przeciwnym jednak wypadku jedyną alternatywą jest, że „rząd światowy narzucony zostanie przemocą".

Zdumiewa ta kategoryczność sceptyka, któremu pozostała jedyna pewność: pewność, że sytuacja jest bez wyjścia. Więc rozpacz płynie z jego konkluzji.

Przypomina się nam Wells'a „*Mind at the End of it's Tether*", choć Wells pisał uprzednio .*Men like Gods*." A tak niedawno jeszcze intelektualiści szli — urzeczeni — za filozofią, co ukazywała im wizję postępu, nieograniczone możliwości rasy ludzkiej. Autorytet agnostyków, który przyrzekł im, „że staną się jako bogowie", stwierdza naraz stanowczo, że czeka świat — nieodwołalnie — powrót do barbarzyństwa, albo niewola. Pewność z jaką przedstawia się nam te pełne rozpaczy konkluzje jest dziwnie bezsensowna. Jeśli jest się bowiem sceptykiem w stosunku do teraźniejszości i do przeszłości, nie wolno równocześnie rościć sobie prawa dogmatycznej pewności co do przyszłości.

Jak tyle już razy w historii tak i tym razem stanie się najprawdopodobniej to właśnie, czegośmy w ogóle nie przewidzieli. I jest może przed nami wybawienie — nie katastrofa.

Wzgardzone słowa chrześcijańskich myślicieli, wskazania Encyklik w powściągliwości. swej wiary w ludzką zdolność stworzenia doskonałego świata o ileż trafniej przewidziały bieg wydarzeń niż tamci filozofowie i politycy, czczeni jako prorocy przez swe pokolenia.

A dziś — na przełomie półwieczy, gdy neo-pogańskim mędrcom została tylko rozpacz jedna pewność, że tylko rozpacz i jest uzasadniona, słowa Ojca św. zwrócone do świata raz jeszcze pełne są pokoju i pokrzepienia. Głoszą nadzieję.

M. Dubanowiczówna

PROBLEMY STUDENTÓW BRYTYJSKICH

LISTOPADOWY ZJAZD N. U. S.

Najważniejszą sprawą na porządku dziennym listopadowego Zjazdu Walnego *National Union of Students* była kwestia dalszej przynależności NUS do Międzynarodowego Związku Sudentów. (I.U.S.)

Międzynarodowy Związek Studentów powstał w Pradze w 1946 r., głównie z inicjatywy NUS. Postanowiono wtedy, aby siedzibą MZS była Praga Czeska. Po zamachu stanu i opanowania władzy w Czechosłowacji przez Partię Komunistyczną, wszystkie organizacje studenckie z tej strony „żelaznej kurtyny" z wyjątkiem NUS, *Scottish Union of Students* i *NUS of South Africa*, wystąpiły z MZS-u, z powodu propagandy komunistycznej w publikacjach MZS i zasłaniania czystek komunistycznych na uniwersytetach czeskich. Zachodnie Związki Studentów znalazły się w mniejszości, podczas gdy MZS dopuścił do członkowstwa organizacje reprezentujące tylko mały odłam studentów niektórych krajów, jak np. organizację studentów Viet-Namskich.

W r. 1949 na Zjeździe MZS w Sofii przedstawiciele młodzieży jugosłowiańskiej, która jest organizacją członkowską, nie zostali dopuszczeni jako reprezentanci organizacji faszystowskiej. Delegacja NUS w Sofii zaprotestowała przeciw naruszeniu statutu MZS i wysunęła na porządek dzienny Plenarnego Zjazdu NUS w Cardiff w lutym 1950 r. wniosek o zawieszenie członkostwa NUS w MZS do czasu powrotu z Jugosławii komisji badawczej NUS i Zjazdu Walnego MZS w Pradze w lecie 1950r.

Na Zjeździe MZS w Pradze p. S. Jenkins, Prezes NUS, wzywał Komitet Wykonawczy MZS do zaprzestania łamania statutu, do naprawienia zrobionego zła i przez to do okazania dobrej woli dalszej współpracy. Jako odpowiedź członkowie Komitetu Wykonawczego NUS zostali nazwani zdrajcami własnego kraju i wniosek o braku zaufania do wszystkich wypowiedzi Prezesa NUS przeszedł olbrzymią większością.

W wyniku tych wydarzeń na porządku dziennym Walnego Zjazdu w Liverpoolu został postawiony wniosek poparty przez Komitet Wykonawczy NUS, o wystąpienie NUS z Międzynarodowego Związku Studentów. (Wniosek postawiła większa część delegacji brytyjskiej, która brała udział w zjeździe praskim).

Po prawie dwugodzinnej dyskusji, w której między innymi przemawiali za wystąpieniem Prezes NUS, brytyjski Wice-Prezes MZS, a przeciw, Delegat Komitetu Wykonawczego MZS, odczytując list Prezesa MZS, oraz trzej członkowie delegacji NUS, którzy podpisali sprawozdanie. Na wniosek jednej z delegacji głosowanie nie odbyło się przez zwykłe podniesienie rąk, a tajne, na kartkach. Tego rodzaju głosowanie pozwala na osiągnięcie bardziej reprezentatywnej decyzji, gdyż w nim każdy Związek ma prawo oddania jednego głosu na 50-ciu studentów, podczas gdy statutowo jest tylko jeden delegat na każdych 750 studentów.

Po godzinnej przerwie, w której zdenerwowanie wzrastało, gdyż delegaci zdawali sobie sprawę, że decyzja pozostania może być ciosem śmiertelnym dla NUS (jeden delegat obliczał, że jakieś 50% Związków Studenckich wystąpi z NUS w razie jego pozostania w MZS) ogłoszono wynik. Wniosek upadł — 622 głosów za, 767 przeciw, przy 44 wstrzymujących się od głosowania. Ta większość przedstawia najwyżej 2500 studentów na obliczoną cyfrę 60,000 członków NUS).

Po ogłoszeniu nastąpił chaos, przez który dał się tylko słyszeć okrzyk „*Long live the International Union of Students*". Prezes i większość członków nowowybranego i ustępującego Komitetu wykonawczego zgłosiła swoją rezygnację. — T. zw. „*Senior Treasurer*" objął przewodnictwo zjazdu.

Aby wyjść z kryzysu powstałego na skutek zgłoszenia rezygnacji przez większość członków K. W., został postawiony wniosek, aby celem potwierdzenie decyzji Zjazdu przeprowadzić referendum, które chociaż nie będzie miało mocy decydującej, będzie jednak wskaźnikiem dla następnego Zjazdu NUS w marcu 1951 r. Komuniści, którzy zresztą w innych głosowaniach o naturze kontrowersyjnej — politycznej nigdy nie osiągnęli więcej niż 30 głosów, starali się nie dopuścić do referendum, twierdząc że decyzja Zjazdu była całkowicie demokratyczna i zgodna ze statutem. Wniosek jednak przeszedł. Referendum się odbyło; pozostaje czekać na jego wynik. Tak po krótce przedstawia się historia zagadnienia

Pozostaje pytanie, czy większość studentów brytyjskich jest skomunizowana? — Przy udzielaniu odpo wiedzi trzeba pamiętać, że jakieś 80% delegacji, w tym wszystkie duże Związki jak *London School of Economic* czy Manchester, przyjechało na Zjazd z mandatami, aby głosować tak a nie inaczej. Decyzja jak mają głosować zależała od zebrań w poszczególnych organizacjach. Z powodu chronicznego braku zainteresowania u studentów sprawami studenckimi na zebrania takie przychodziło conajwyżej 10% członków. W takich warunkach łatwo jest wszędzie aktywnym i ruchliwym komunistom stworzyć większość i wygrywać. Drugim faktem o którym należy pamiętać to to, że decyzja w poszczególnych Związkach zapadała przeważnie małą większością głosów. Delegacje jednak na Zjeździe musiały głosować tak, tak jakby decyzja zapadła jednomyślnie. Np. decyzja aby pozostać na *London School of Economics*, która na Zjeździe tajnym reprezentuje 60 głosów, przeszła na zebraniu Związku większością 10 głosów. Można powiedzieć, że 60 głosów na Zjeździe zostało oddanych za pozostaniem w MZS w imieniu 10 studentów. Na zakończenie jeszcze fakt bardzo charakterystyczny. Jedyną uczelnią, na której zrobiono referendum przed Zjazdem była *Leeds University* i mimo, ze spośród 3-ch podpisów na sprawozdaniu mniejszości ze Zjazdu w Pradze, dwa były członków tego Związku, wynik referendum zadecydował, aby delegacja głosowała za odłączeniem się NUS od MZS. —

Jaką drogę wybierze NUS trudno jest powiedzieć. Dużo będzie zależeć od procentu głosów oddanych w referendum, gdyż procent ten będzie decydował w dużej mierze o ratyfikacji referendum przez Zjazd NUS w marcu 1951 r. A tu znów „*The Boys*", jak komunistów na Zjeździe nazywano, są bardzo aktywni i przeprowadzają w Związkach na Uczelniach wnioski, że referendum jest niekonstytucyjne i wobec tego nie powinno się odbyć.

J. S. B.

W chwili oddawania n-ru do druku wynik referendum jest już znany. 18 tys. głosowało przeciw dalszemu należeniu 15 tys. za. Wynik tego głosowania omawia prasa brytyjska. Wnioski podobne do tych, o których wspomina w swym artykule nasz kolega. Porównaj „Economist" pierwszy numer tegoroczny.

Redakcja

STUDENCI BRYTYJSCY POMAGAJĄ STUDENTOM POLSKIM

Wobec katastrofalnych warunków materialnych, w jakich znajduje się ponad 60 tys. studentów polskich w Kraju, World Students Relief i International Students Service zorganizowały pomoc obejmujących wiele istotnych dziedzin z życia studenta. W sprawozdaniu ze swojej działalności za okres od 1. 10. 48. do 30 9. 49. brytyjski Komitet ISS podaje, że wysłano do Polski 1 cwt. czasopism wartości £ 6 oraz 2 mikroskopy i medyczne pisma wartości £ 9. Stanowi to około 1,14% funduszów wydanych przez tę organizację na pomoc dla studentów w całej Europie. W programie międzynarodowym ISS na rok 1949/50, na pomoc studentom w Polsce przeznaczono O.69% ogólnej kwoty, z czego zakupione zostały narzędzia szpitalne, lekarstwa, sprzęt techniczy dla laboratoriów, sprzęt drukarski oraz prace naukowe dla bibliotek uniwersyteckich.

World Students Relief w sprawozdaniu z pomocy dla studentów w Polsce podaje, że w wyniku badań wśród 31.200 studentów stwierdzono 780 wypadków (2.5%) otwartej gruźlicy płuc, oraz 1653 (5,3%) niezaraźliwej formy tej choroby. Na apel skierowany do uczelni na całym świecie, wysłano odzież i konserwy, które wraz z funduszami, którymi dysponuje W.S.R. pozwalają na udzielenie pomocy materialnej i zorganizowanie sanatoriów i ośrodków wypoczynkowych. lekarskich. przeprowadzonych

PRZECHADZKI PO POLSKIM LONDYNIE

24 grudnia;

Śmieszna rzecz, ale nie mogę jednak zapomnieć, że dzisiaj wigilia. Dwunasta wigilia, tyle ich się już nazbierało, w wędrówce po świecie. I pomimo tego ciągle wraca tego samego dnia fala wspomnień. Te wszystkie poprzednie, szczęśliwe, zlewają się w jeden obraz. Postanowiłem dzisiaj nie myśleć o tym co było, co nie wróci. Leżę na łóżku i palę papierosy, czekam aż się ściemni. Pójdę po moich koleżkach, pójdziemy może do kina, może popijemy.

Za drzwiami mego pokoju ruch, z rodzinnych jednopokojowych „home" wypadają co chwila nasze polskie *hauswajfy'y* z garnkami w rękach i wypiekami na twarzy. Coś tam niesamowitego muszą kuchcić, bo głosy ich, którymi komenderują swym mężom, są o kilka tonów wyższe. Przez drzwi przecieka zapach gotowanych pptraw, wierci wspomnienia znany zapach gotujących się ryb, kapusty i grzybów. Zapada zmierzch, ruch za drzwiami powoli zamiera, trzeba iść. Przykleić do ust wzgardliwy uśmiech i iść od tych zapachów, poważnych i uroczystych min.

Najpierw Wojtek na Kensingtonie, właściwie to on taki „przyszywany" kolega. Przyszedł do nas we Włoszech, był najmłodszym w moim oddziale. Pamiętam jak przyjechał z niewoli i kłamał, że ma osiemnaście lat, (a miał 16) żeby zostać w wojsku. Źle trafiłem, Wojtek wita z uroczystą miną, włażę jednak na najwyższe piętro. W pokoju aż ciemno, tylu ludzi. Matka jego naspraszała chyba z połowę college'u. Na łóżku leżą kolorowe szaliki. Znowu ten znajomy zapach. I stół nakryty białym obrusem. W kącie pokoju na kuchence wielkie garnki i siwa pani wita uśmiechem. Mijają minuty za minutami, a mnie ciągle przed oczyma stoi inny stół wigilijny, lecz przy nim już tylu osób brak. Wiem, że przyjdzie znowu list z Polski, i siostra pisać będzie, że było nakrycie i dla mnie i Mama płakała. Chłopcy, młodzi koledzy, mają poważny wyraz twarzy, ale dla nich to dopiero siódma z kolei wigilia. Mnie znika jednak ten uśmiech, coś wraca, coś ciśnie w gardle, ale właściwie jest mi lepiej.

Idę znowu ulicami w kierunku Hammersmith. W pokoju Adama ciemno i zimno. On sam leży na łóżku skulony, przez okna pada światło uliczne na jego twarz. Oczy zamknięte i kolor policzków w tym świetle taki szary. Znowy wspomnienie ciężarem przygniotło, widziałem, pamiętam, też tak leżał, tylko nie na łóżku ale na ziemi, pod Bolonią, też ten sam kolor twarzy, też ciało zwinięte w kłębek, i też tak drżał.

Idziemy teraz na Chiswick, do Stacha. Największy kpiarz i cynik w całym pułku, siedzi na podłodze przy *gas ringu* i w potwornie wielkim garnku gotuje. Śmieje się i mówi, że wiedział iż przyjdziemy. Jesteśmy razem i jest nam właściwie dobrze, przy kiepskim winie wspominamy dobre wino włoskie. Gdzieś koło północy wstaje Stach i kładzie na stole opłatek z domu, z Polski, z Częstochowy. A potem wyciąga harmonijkę ustną i gra, po cichu, ażeby nie obudzić gospodarzy. Adam wśród nocnej ciszy ryknie czasem, a ja jak mogę wtóruje im basem, HEJ KOLĘDA, KOLĘDA.

1 stycznia:

Wyjątkowo udało mi się dzisiaj rychło wstać. Cieszę się z tego, bo mówili w Polsce, jaki Nowy Rok, takie będą pozostałe dni. Ach, to ranne wstawanie, zawsze walczę z budzikiem. Idąc na stację Earls Court spotykam ludzi śpieszących do pracy, przeważnie w tym czasie robotników. Idą spokojnie, tłumnie. Z przeciwnej strony mała grupka rozbawiona, panie w balowych wymiętych sukniach i panowie z zmęczonymi twarzami. Wracali z balu czy zabawy. Zachowywali się bardzo głośno. Mówili po polsku.

4 stycznia:

Byłem dzisiaj w polskiej księgarni, bo chciałem kupić kalendarzyk na 1951 rok. Oglądam jeden, ładny i drogi. Wydawca — wielce szanowna instytucja polska. Może i to przesada, ale dobrze czasami na coś przyjemnego popatrzeć. Godła państwowego, ani w koronie ani nie ma. zato zaraz na początku spis przedstawicielstw dyplomatycznych wszystkich możliwych i nie możliwych krajów do emigracji. Dopiero teraz zrozumiałem, że jesteśmy naprawdę emigracją polityczną, takie zainteresowanie się placówkami dyplomatycznymi. Mapy Polski nie ma również, jest natomiast plan kolejki podziemnej i to tylko śródmieścia, tak zwanego *City*, siedziby banków i ambasad. Nie kupiłem tego kalendarzyka, bo plan całej kolejki dostanę za darmo przy kasie, z Victorii na Piccadilly trafię bez pomocy, w bankach kont nie mam, stosunków dyplomatycznych nawiązywać nie będę, do „kadrówki zaleszczyckiej" nie należę, emigrować nie zamierzam, bo już raz wyemigrowałem. Drugi kalendarzyk o dwa szylingi tańszy, i o dziwo miał mapę Polski, ale jakąś dziwną. Dwa rodzaje granic z 39 roku i obecna, pod okupacją rosyjską. Czy czasem nie za dużo? A właściwie to dlaczego nie ma granic Królestwa Warszawskiego i Generalnej Gubernii, było by weselej i więcej granic. Dla mnie istnieje jedna granica na wschodzie z Wilnem i Lwowem, a na zachodzie okupiona milionowemi stratami i ofiarami granica Nyssy i Odry. Nie wiem do jakiej Polski autorzy tej mapki się wybierają, ale boję się, że nie trafią do żadnej. Nie szkodzi. Poszedłem i kupiłem u Woolwortha za 1/9. Na każdej stronie ładna buzia jakiejś aktorki. Poco przez cały rok ma mnie cholera brać. X.

O CIOCI, CO SIEDZI NA KANAPIE

Uważny czytelnik prasy polskiej zauważyć może, że od pewnego czasu zaczyna ona coraz więcej uwagi poświęcać młodzieży. Objaw ze wszech miar godny pochwały, gdyby nie to, że to wszystko, co możemy wyczytać na jej łamach, przypomina bardzo zgryźliwe uwagi przysłowiowej Cioci, co siedzi na kanapie i ma wszystkim za złe — przede wszystkim młodym.

Żeby nie być gołosłownym, parę przykładow. Oto okazało się, wprawdzie po paru dobrych miesiącach, ale jednak zauważono na łamach „Dziennika Polskiego", pierwsze wydanie „Jednodniówki Akademickiej" na emigracji. Dokładnie mówiąc po siedmiu miesiącach. A jakże!!! Jednodniówka została nie tylko zauważona, ale i uwagi o niej umieszczono na najodpowiedniejszym miejscu. Nie trudno zgadnąć. Po prostu w rubryce „Podsłuchane". Tam gdzie się najczęściej odbywa pranie brudów własnych i nie własnych. Pożytek niewątpliwy. Wszyscy czytelnicy na „właściwym" miejscu i we „właściwy" sposób zostali poinformowani o poczynaniach polskich studentów. A ocena „Jednodniówki", jak zwykle u kochanej Cioci. Po kilku słowach niechętnej pochwały — o wiele obszerniejszy ustęp złośliwych uwag.

Jakoś tak się składa, że nasi Panowie Redaktorzy, pisząc sprawozdania z przeróżnego kalibru imprez polskich, kończą swoje uwagi sakramentalnym „Amen" — „a studentów polskich nie było". Albo inaczej — „i tym razem nasza młodzież nie dopisała". Albo — „i znowu nie zauważyłem na szczelnie wypełnionej sali studentów". Przepraszam „stypendystów".

Wydaje się, że już nie można teraz napisać żadnej krytyki, żadnego sprawozdania, bez zakończenia uwagami o studentach. Po prostu nie wypada inaczej. Musimy przecież myśleć o naszej młodzieży, dbać o nią i okazywać jej zainteresowanie. Bo jak mówi często Ciocia — nasza młodzież to przecież nasz skarb największy, jaki tu mamy na emigracji itd.

Przykładów na to bez liku. Czy to będzie recenzja z „Wieczoru Literatów" w Ognisku Polskim, czy recenzja z „Wieczoru Adwentowego" w Polskiej YMCA. A na przykład z „Dziennika Polskiego" dowie się uważny Czytelnik, jak przykładnie młodzież polska kształci się na obywateli angielskich. Bo ma angielskie stypendia.

Żeby być uważanym przez naszą Kochaną Ciocię za dobrego Polaka, trzeba mieć wiele, wiele różnych cech. Trzeba należeć przynajmniej do dziesięciu różnych Związków, mieć legitymację Skarbu Narodowego, czytać „Dziennik Polski", brać udział we wszystkich patriotycznych obchodach — potrzebnych czy niepotrzebnych, trzeba chodzić bez wyjątku na wszystkie przedstawienia teatrów i teatrzyków polskich, nie wolno opuściś żadnego wieczoru artystycznego — udanego czy nie, czytać wszystkie dzieła wydane przez pisarzy pozostających na emigracji trzeba jadać w polskich restauracjach, pić kawę w polskich kawiarniach, chodzić do Simu, pod Grzybek i do Piekiełka. (Przepraszam jeśli coś w tym spisie opuściłem). No i do Daquisa obowiązkowo. Tam przecież nasza kochana młodzież może się spotkać ze starszym pokoleniem i tyle na tym zyskać.

Kochana Ciociu, kiedy nauka — jak Kochana Ciocia myśli?

A możeby Kochana Ciocia pozwoliła młodym zrobić od czasu do czasu wybór. Na jaką pójść sztukę, jakiego autora przeczytać, do jakiego związku należeć. Czy muszą oni spożywać wszystko bez wyjątku co nam podadzą w emigracyjnej kuchni?

A Ciocia ciągle wzdycha. Bo widzi moja kochana Pani. Pan Ixiński (zna go Pani — co siedział w łagrze — biedaczek), napisał tak świetną sztukę. A grała Pani Ypsylon ta — wie Pani co przeszła przez Sowiety. Jednym słowem wspaniałe przedstawienie, szkoda tylko, że naszej młodzieży nie było. Szkoda — czego Kochana Ciociu?

A gdyby tak nasza Kochana Ciocia zlazła z tej kanapy i zechciała się pofatygować tam, gdzie można spotkać tych młodych ludzi, których naprózno szuka wokół siebie. Wyszłoby to jej bardzo na zdrowie. Dowiedziałaby się dużo ciekawych rzeczy. I spacer taki wpłynąłby bardzo dodatnio na samopoczucie.

Dowiedziałaby się, że ta młodzież tak pocichu, bez tromtadrackiego hałasu, stworzyła swój Związek liczący dwa tysiące członków. I to takich, co płacą składki. Że co roku z dobrowolnych składek zbiera około 2000 funtów, z których udziela pomocy opuszczonym przez wszystkich Kolegom na Kontynencie.

— Że ma swój klub studencki, w którym, o dziwo! ci przyszli obywatele angielscy — z zapałem dyskutują po polsku i o polskich sprawach. Że słuchają muzyki polskiej, że czytają wyjątki z arcydzieł literatury polskiej. No i że się razem doskonale bawią. Ale darujmy im to, są przecież młodzi.

Dowiedziałaby się również, że ta młodzież skromnymi swoimi środkami stara się pomóc sprawie polskiej na dostępnym jej terenie młodzieży angielskiej. Że bierze udział w zjazdach młodzieży angielskiej i tam stara się bronić interesów polskich. I że krok po kroku zdobywa coraz to większe uznanie u swoich kolegów-Anglików.

A na opłatku studenckim, który zgromadził ponad dwustu studentów i studentek, Kochana Ciocia byłaby doprawdy wzruszona śpiewając razem z nami polskie kolędy. Naprawdę szkoda Kochana Ciociu, że Cię między nami nie było.

I jeszcze jedno Kochana Cioteczko. Młodzi się uczą i to dobrze uczą. Mają dużo do zrobienia i przygotowują się do swojego zadania solidnie. Mówią dobrze po angielsku (—tego im chyba nie zazdrościsz—) i czynią dobre postępy w nauce.

Czy Ci to nie wystarcza Kochana Cioteczko? *W. S.*

List do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze!

Czytając umieszczony w Życiu Akademickim (ŻYCIE z dnia 17 b.m.) artykuł pana Franciszka Berki, byłem zaskoczony sumą, jaką pan Berka wymienił jako potrzebną dla umożliwienia dalszych studiów znajdującym się na Kontynencie naszym studentom. £ 51 tysięcy to jednak suma dość znaczna, która jak mówią „piechotą nie chodzi". Zastanawiając się nad siedmioma szylingami, które „pomnożone przez 160 tysięcy Polaków" dałyby 51.000 funtów sterlingów, doszedłem do wniosku, że jest to cena 40-tu papierosów, czyli mniej od ilości tygodni w roku.

Niestety, nie jestem człowiekiem silnej woli, sądzę jednak, że będę umiał odmówić sobie w każdym tygodniu przyszłego roku niecałego papierosa i dlatego przesyłam P. O. na sumę 7/- z prośbą o przesłanie go pod właściwy adres, za co składam Panu Redaktorowi serdeczne podziękowanie.

Zechce Pan Redaktor przyjąć wyrazy szacunku oraz szczere życzenia Wesołych Świąt i Dosiego Roku!

„Drucik"

Od Redakcji: Gdybyśmy takich „Drucików" mieli więcej, można by ukręcić z nich potężną linę, na której przyszłość naszych Kolegów można by pewnie uwiązać! —

POMOC DLA STUDENTÓW POLAKÓW ZA GRANICĄ

Pierwszą uczelnią brytyjską, która odpowiedziała na apel pomocy dla studentów Polaków D.P. jest uniwersytet w Birmingham. Dzięki pomocy tej uczelni dwóch Polaków rozpoczęło tam studia w dziedzinach: górnictwa i handlu. Organizacje studenckie na terenie tej uczelni, dostarczają 400 £ rocznie koniecznych do utrzymania „gości" podczas gdy uniwersytet pokrywa opłaty szkolne.

Z POLSKI

WYSTAWA „MŁODZIEŻ WALCZY O POKÓJ"

„— Ogólno-polska wystawa pt. „Młodzież walczy o pokój", której otwarcie nastąpiło 30 października 1950 r. w Muzeum Narodowym w Warszawie, pokazuje dorobek najlepszych prac słuchaczy wyższych uczelni artystycznych z terenu całej Polski." („Nowa Kultura" 12. 11. 1950.).

Artykuł ten nie szczędzi pochwał młodym malarzom, gdyż ci „najżywiej i najszerzej reagują na rzeczywistość dnia dzisiejszego". „Tematami ich prac są epizody z walk rewolucyjnych, portrety polskich i radzieckich przywódców ruchu robotniczego, sceny obrazujące pracę w dziedzinie budownictwa, produkcji przemysłowej, propagujące przewodnictwo pracy, racjonalizatorstwo, obrazujące życie współczesnej wsi, życie młodzieży. Swój wyraz artystyczny znajdują również w tematach z okresu walki z faszyzmem, ukazujące braterstwo broni żołnierzy radzieckich i polskich, dalej polski pejzaż rodzajowy. Spotykamy się nawet z cenną w swych zamierzeniach tematycznych próbą stworzenia obrazu historycznego".

W tym samym artykule „Nowa Kultura" przyznając rzeźbiarzom sumienność i solidność w studiowaniu natury, narzeka na tematy ich prac:

— "Należałoby tylko tchnąć w nich ducha odwagi twórczej, rozbudzić i ożywić świadomość, by poszerzyli swoje spojrzenie na świat i ludzi, by prawda życiowa ich realizacji artystycznych wzbogaciła się o odkrycia tego co powszechne, typowe, by zdolni byli wyjść poza umowne schematy, wywołujące siłą rzeczy konwencjonalną poprawność formy".

Na zakończenie artykuł wyraża nadzieję, iż młodzież „będzie coraz lepiej przygotowana do tworzenia i rozwijania sztuki realizmu socjalistycznego".

KONIEC SAMODZIELNOŚCI ZAMP

Niezadowolona z postępów w dziedzinie komunizowania i szkolenia młodzieży w wyższych uczelniach, Partia wcieliła dotychczas autonomiczny Związek Akademickiej Młodzieży Polskiej do ogólnopolskiej młodzieżowej organizacji chłopsko-robotniczej — Związku młodzieży Polskiej. ZMP, przewidując kierownictwo ZAMP, stawia sobie następujące zadania:

— „Zmobilizować szerokie masy studenckie na front walki o budownictwo socjalistyczne przeciwko wrogom ludu, którzy nie rezygnują z prób dywersji na tak ważnym odcinku, jakim są wyższe uczelnie."

— „Zmobilizować szerokie masy studentów do walki o coraz lepsze wyniki nauki. Jest to zagadnienie tym ważniejsze, że dotychczasowy stan przepustowości naszych uczelni jest niepokojący. Wystarczy, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że są wyższe uczelnie, na których odsiew wynosi 60 a nawet więcej procent. Dlatego walczyć należy o świadomą dyscyplinę studiów przeciwko bumelantom, nierobom, przeciw niewłaściwemu jeszcze u części profesorów stosunkowi do odpowiedzialności za rzetelne i terminowe wyszkolenie kadr". („Sztandar Młodych" 20.10.1950.).

WYWIAD Z W. JAROSIŃSKIM

W. Jarosiński, reżymowy minister Oświaty, w wywiadzie z przedstawicielem „Sztandaru Młodych", w następujący sposób określił zadania w pracy szkolnictwa w r. szkolnym 1950/51:

„Chcemy przezwyciężyć opóźnienie szkolnictwa w rozwoju, widoczne w stosunku do innych dziedzin, naszego życia, przez konsekwentne realizowanie wychowania socjalistycznego, przepojenie treści nauczania zasadami marksizmu-leninizmu i zwiększenie wydajności szkół wszystkich stopni — przyśpieszenie produkcji absolwentów. Zadaniem naszym jest włączenie szkolnictwa do walki o realizację planu 6-letniego i wzmacnianie rezultatami naszej pracy pozycji obozu pokoju, której przewodzi Związek Radziecki. Wciągnięcie do wykonania tych olbrzymich zadań nauczycielstwa i młodzieży, podporządkowanie wysiłków wszystkich czynników zainteresowanych rozwojem szkoły jednemu planowi organizacyjnemu i wykończonemu, ścisłe przestrzeganie dyrektyw bojowego oddziału klasy robotniczej — PZPR, pozwoli nam osiągnąć pełne zwycięstwo."

SPOSÓB UCZCZENIA 33-ciej ROCZNICY REWOLUCJI PAŹDZIERNIKOWEJ

Studenci z liceum i gimnazjum energetycznego w Krakowie uchwalili uczcić rocznicę rewolucji październikowej zelektryfikowaniem jednego z budynków w Nowej Hucie. „Projekt ten spotkał się z uznaniem dyrekcji szkoły i kierownictwa robót w Nowej Hucie". („Sztandar Młodych" 1. 11. 1950.).

Powyższa wzmianka ilustruje wprowadzenie w życie dwu idei wpajanych w młodzież: hołdownictwa Rosji oraz ofiarności w pracy nad odbudową Polski.

KRONIKA AKADEMICKA

P. U. C. PRZEDSTAWIA SWÓJ DOROBEK

Z okazji uznania Polish University College jako „external college" University of London odbyła się w dniach 17 i 18 listopada 1950 r. wystawa, mająca na celu pokazanie osiągnięć PUC. W piątek, 17-go wystawa otwarta była jedynie dla zaproszonych gości, w większości naukowców z rozmaitych uczelni angielskich. W sobotę wystawę mógł oglądać każdy. Opierając się na dodatniej opinii fachowców i na bardzo dużej frekwencji należy stwierdzić, że wystawa należała do udanych i celowych osiągnięć. Profesorowie angielscy mieli pełne słowa uznania szczególnie dla działu elektrycznego.

Z BRATNIEJ POMOCY P. U. C. USTĄPIENIE PREZESA BRAT. POM. P. U. C.

Kol. Antoni Byczyński, dotychczasowy Prezes Bratniej Pomocy PUC ustąpił ze swojej funkcji ze względu na brak czasu. Nie jest tu miejsce na rozważanie zasług Kolegi ex-prezesa. Za pracę ciężką, bezinteresowną na stanowisku prezesa przez okres dwu lat, akademickie „Bóg zapłać". Funkcje Prezesa Bratniej Pomocy PUC pełni obecnie Kol. J. Brzeziński (Wydział Ekonomii), nowego wyboru dokona Walne Zebranie Br. Pom. PUC w połowie stycznia.

WYNIKI REFERENDUM

Br. Pom. PUC donosi nam o wynikach referendum przeprowadzonego na tej uczelni w głośnej sprawie dalszego przynależenia NUS do IUS. Wyniki są następujące: 450 głosów przeciw, 20 za.

KLUB AKADEMICKI

16-go listopada odbył się dancing klubowy. 2-go grudnia „Andrzejki" i zabawa taneczna. Dancing udał się wspaniale — zwłaszcza finansowo. Było bardzo, bardzo dużo ludzi i była orkiestra. Jacy ludzie i jaka orkiestra to nie jest istotne, skoro mimo biletów tzw. „komplimentary" dochód był naprawdę imponujący: przeszło £25!

„Andrzejki" i zabawa 2 grudnia udały się znakomicie. Przede wszystkim był nastrój, swobodna atmosfera, humor, bardzo dużo bardzo ładnych koleżanek i znakomity makowiec i pączki.

3. 2. Koło Londyn zaprasza na dancing w „Ognisku". Wstęp 3/6.

11. 2 Komitet Klubu Akademickiego urządza herbatkę towarzyską, na którą m. i. złoży się program kulturalno-oświatowy.

LUDZIE, KSIĄŻKI, ZDARZENIA

AUTOR „BABBITTA" NIE ŻYJE

Dnia 10 stycznia rb. zmarł na atak serca w jednej z klinik rzymskich, w wieku lat 65, znany powieściopisarz amerykański Sinclair Lewis. Spędził on ostatnie miesiące w swej willi we Florencji; dostał tam ostrego zapalenia płuc i przewieziony został do Rzymu.

Sinclair Lewis, Walijczyk z pochodzenia, urodził się 7 lutego 1885 r. w Sauk Center, w stanie Minnesota. Mając lat 22 ukończył studia swe na Yale University i był później przez pewien czas reporterem w różnych dziennikach amerykańskich. Wykazane w tym charakterze zdolności pozwoliły mu przejść na wyższy stopień drabiny dziennikarskiej; pełnił funkcje redaktora w szeregu „magazynów" i firm wydawniczych. Z tego właśnie okresu pochodzą pierwsze jego powieści: „Our Mr. Wrenn" (1914) oraz „The Trail of the Hawk" (1915), które jednak nie wzbudziły większego zainteresowania ani wśród krytyków, ani wśród publiczności.

Rozgłos zapewniła mu dopiero wydana po Pierwszej Wojnie Światowej, w r. 1920 powieść satyryczna „Main Street", charakteryzująca pustkę życia środowisk mieszczańskich amerykańskiego „Middle Westu". Powieść ta pozwoliła ostatecznie ustalić typ twórczości pisarskiej Sinclaira Lewisa — typ, który był wypływem jego temperamentu i uzdolnień. Był więc Sinclair Lewis satyrykiem z żyłką reporterską i publicystyczną. Jego zdolności reporterskie pozwalały mu na podpatrywanie cech i właściwości ludzkich i oddawanie ich z fotograficzną niemal dokładnością. Artyzm pisarski znajduje się u niego na dalszym planie — w tej dziedzinie Sinclair Lewis nie osiągnął nigdy wysokiego poziomu.

Przedmiotem jego satyry są nie tyle typy ludzkie, co całe warstwy i środowiska społeczne. W tym zakresie Sinclair Lewis znalazł licznych naśladowców i stąd w znacznej mierze pochodzi ów „socjologiczny" charakter powieści amerykańskiej, odróżniający ją tak silnie od większej części twórczości powieściowej Europy Zachodniej.

Już jego „Main Street" daje przekrój życia „głównej ulicy" nie jakiegoś określonego miasta Stanów Zjednoczonych, ale miast „Middle Westu" w ogóle. Cechy te w jeszcze większym stopniu posiada następna powieść Sinclaira Lewisa „Babbitt", wydana w r. 1922, — najbardziej znana i niewątpliwie najlepsza ze wszystkich jego książek. Przetłumaczona wkrótce po ukazaniu się także na język polski, miała u nas wielu czytelników.

Babbitt to typ średniego amerykańskiego businessmana, zadufanego w sobie i w świecie, który go otacza, człowieka, którego całe życie psychiczne mieści się w rutynie dnia codziennego oraz ścisłym stosowaniu się do istniejących obyczajów i konwencyj jego środowiska z całą tego środowiska ciasnotą umysłową, samozadowoleniem i nieświadomą często obłudą. Posiada on także pewne cechy dodatnie, autor jednak, jako satyryk, uwydatnia przede wszystkim jego mniej pociągające właściwości. Wyczucie ich musiało być trafne, skoro słowo „babbitt" stało się w latach dwudziestych naszego stulecia nie tylko w Ameryce, ale i w innych krajach potocznym określeniem ujemnych cech tego, co Anglicy zwykli nazywać „middle middle-class".

Rzecz została oczywiście wyzyskana przez skrajną lewicę w jej propagandzie przeciw mieszczaństwu. Należy jednak zaznaczyć, że Sinclair Lewis w książkach swych nie ograniczał się do ośmieszania i wyszydzania mieszczańskiego „koltuństwa" i egoizmu, ale że przedmiotem jego satyry byli także intelektualiści, piętnujący to kołtuństwo, ale sami nie potrafiący na to miejsce dać niczego lepszego.

Późniejsze powieści Sinclaira Lewisa nie osiągnęły już tego poziomu, co „Babbitt". Wymienić tu należy: satyrę na zawód lekarski „Arrowsmith" (1924), dalej powieść „Elmer Gantry" (1927), skierowaną przeciw pewnej kategorii przywódców Kościołów protestanckich w Stanach Zjednoczonych, — oraz powieść „The Man Who Knew Coolidge", w której pisarz powrócił znów do tematu Babbitta. W powieści satyrycznej „Dodsworth" (1929) Sinclair Lewis opisuje podróż starszego amerykańskiego przemysłowca samochodowego wraz z jego żoną do Europy — i sposób, w jaki oboje reagują na odmienność życia europejskiego, jego różną od amerykańskiej skalę wartości i ocen.

Mimo całego bogactwa spostrzeżeń i ujęć Sinclaira Lewisa nie podobna się oprzeć wrażeniu, że jego charakterystyki nie sięgają do dna życia społeczeństw i warstw, które opisuje, i że czegoś w nich brak — podobnie jak zawsze brakować będzie czegoś nieruchomej fotografii, gdy zestawimy ją z obrazem o dużej ekspresji artystycznej.

Toteż przyznanie Sinclairowi Lewisowi nagrody Nobla w r. 1930 wzbudziło wątpliwości w świecie intelektualnym Zachodu, zwłaszcza w Anglii, choć nikt nie kwestionował walorów jego twórczości.

Sinclair Lewis miał powierzchowność, która musiała zwracać uwagę: był bardzo wysokiego wzrostu, bardzo szczupły i miał włosy wybitnie rude, co zjednało mu przydomek „Red Lewis". Był dwukrotnie żonaty; drugą jego żoną była znana publicystka Dorothy Thompson.

Pisarka angielska Rebecca West poświęca Lewisowi wspomnienie w „Evening Standard". Był on — według jej opinii — wprost pedantycznie prawdomówny i sumienny w stosunkach z ludźmi. Z drugiej strony trudno mu było naginać się do przyjętych zwyczajów i konwencji — i często popełniał rzeczy, rażące innych ekscentrycznością. Można go było np. spotkać przy śniadaniu w którymś z hoteli nowojorskich, otoczonego licznym gronem ludzi, których skądś pozbierał w ciągu dwóch ubiegłych dni i których nazwisk prawdopodobnie w ogóle nie znał, ale w których towarzystwie przebywał od chwili pierwszego z nimi spotkania.

Ta skłonność do ekscentryczności i samotnictwa — unikał bowiem stykania się z dawnymi znajomymi — pogłębiała się w nim jeszcze z biegiem czasu.

Jego satyry społeczne dotyczą głównie okresu, w którym zdawało się, że amerykański „businessman" jest właściwym władcą kraju w każdej dziedzinie życia —, że silniejszy jest od rządu i instytucyj państwowych. Od tego czasu wiele się jednak zmieniło także w Stanach Zjednoczonych.

NOWE FILMY

TROCHĘ HISTERII I PROPAGANDA PRZESTĘPSTWA

(„The Secret Fury", „Walk Softly, Stranger")

Kino ODEON Leicester Sq.

NIE wymieniam szczegółowych danych o tych dwóch amerykańskich filmach, bo ich twórcy nie mają czym się poszczycić, a oba „dzieła" zasługują na jak najszybsze zapomnienie.

W pierwszym, pseudopsychologicznym obrazie, dobra aktorka komediowa Claudette Colbert pokusiła się o odegranie roli neurastenicznej pianistki, której demoniczna banda szantażystów i psychopatów wmawia intencję popełnienia bigamii. Prócz tego nie tyle dramatyczna, co histeryczna p. Colbert zostaje posądzona o zabicie swego rzekomego męża i dostaje się do domu wariatów. Ostatecznie wszystko kończy się dobrze, choć nie bardzo wiadomo dlaczego. Stosunkowo najnormalniejszą osobą w tym na wariacko-stylizowanym filmie jest narzeczony pseudobigamistki i półwariatki — Robert Ryan. Scenariusz szyty grubymi nićmi, pełen naciąganych sytuacji, niechlujnie spreparowany.

„Walk Softly, Stranger" (co można by przełożyć na polski „Śpiesz się powoli, przybyszu") zasługuje na uwagę jako negatyw tego co chcielibyśmy mieć w kinie. Jest to klasyczny przykład amoralności posuniętej tak daleko, że graniczącej z propagandą przestępstwa. Doskonałych aktorów — Valli i J. Cottena — zaangażowano po to, by pokazać historię szulera i złodzieja, który osiedla się w małym miasteczku i przybiera pozory solidnego obywatela, by w odległym miejscu dokonać rabunku sześciocyfrowej sumy, a następnie wejść z powrotem w fałszywą skórę owcy i czarować bogatą dziewczynę, przykutą do inwalidzkiego wózka po wypadku narciarskim. Trzeba dodać, że plan złodziejaszka udaje się w połowie. Wprawdzie nakrywają go wkońcu, ale dziewczyna nie opuszcza gagatka i oświadcza, że poczeka chętnie te parę lat, które będzie musiał odsiedzieć w kryminale. Tytuł filmu zdaje się sugerować, że opryszek postępował słusznie i wcale nie głupio, tylko wziął zbyt wielkie tempo. Jednym słowem: „wszystko można, co nie można, byle zwolna i z ostrożna".

Rzecz ciekawa, że nawet tak świetny autor jak Cotten nie potrafił stworzyć ciekawej kreacji czołowego łajdaka, któremu reżyser na próżno usiłował nadać pewne cechy sympatyczne i ludzkie. Wielki talent Cottena tonie w atmosferze moral insanity i zagmatwania, zatruwających cały film i niszczących wyraz artystyczny, jaki starano się stworzyć przez nieudaną stylizację w rodzaju zwalniania tempa. Valli wypadła słodko, naiwnie, niemal głupio — inaczej wypaść nie mogła.

Na premierze myślałem ze smutkiem i gniewem o twórcach tej lichoty: należałaby się im porcja batów za bezwstydne marnowanie aktorów, którzy w „Third Man'ie" dali nam Martinsa i Annę. Czy doczekamy się wreszcie czasów, gdy obok Oskarów i innych nagród za dobre filmy istnieć będą jakieś sądy artystyczne i obywatelskie, orzekające kary cielesne na tych, co trwonią talenty i grzeszą przeciw sztuce? Ostatecznie zamiast rózeg można by im aplikować przymusowe, bezustanne oglądanie ich własnych kiczów.

(sp)

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

CÓŻ Z TYCH WIELKICH OBOWIĄZKÓW?

CZASAMI człowiek krąży przez długi czas myślami dokoła jakiegoś tematu i nie może uchwycić jego istoty. Trwa to nieraz nawet latami. Aż niespodziewanie usłyszy od kogoś lub przeczyta gdzieś zdanie złożone z kilku słów, pozornie niezwiązanych zupełnie z tym zagadnieniem, które podziała jak katalizator, uporządkuje myśli i da im punkt centralny, układający je w określonego kształtu całość.

Któż z nas nie myślał nieraz o wadach wychowania polskiego, o rozbieżności między niewątpliwie wysokimi wartościami moralnymi naszej kultury, naszą większą niż wielu narodów otaczających nas ideowością, a tym jakimś nieporządkiem, niesklądnością, drobną nieuczciwością, męczącą blagą. Kontrast ten musi mieć swoje źródło w wychowaniu. W jakiś sposób wartości ideowe i chrześcijańskie naszej kultury wyradzają się w brak odpowiedzialności. Te same ideały, które niekiedy rozpalają w Polaku najwyższą ofiarność, innym razem stają się dla niego parawanem osłaniającym ucieczkę od pracy i rzeczywistości.

I nie jest to sprawa często wspominanej niestałości lub zmienności charakteru polskiego. Mało społeczeństw umie wykazać taką stałość, taki upór i niezłomność w zachowaniu pewnych wartości duchowych, w obronie wartości moralnych, w tworzeniu w najprzeciwniejszych warunkach dóbr kulturalnych. Jest to zatem coś innego, jakiś głęboki brak metody, brak umiejętności postępowania. Z czego to pochodzi?

Niedawno ktoś zupełnie nie zajmujący się sprawami społecznymi ani pisarstwem, młoda kobieta o zainteresowaniach artystycznych, napisała w liście do mnie mimochodem: „Cóż z tego, że stawiano nam bardzo wielkie obowiązki, kiedy nie umiano dopilnować ich wykonania".

Wydaje mi się, że dotknęła ona sprawy w naszym wychowaniu najbardziej istotnej. Obowiązki, jakie rodzina, szkoła, społeczeństwo stawiają przed młodym Polakiem są bardzo wielkie, są niewątpliwie większe od tego, czego wymaga od swoich wychowanków którekolwiek ze społeczeństw zachodnich. Mały Palak słyszy, że obowiązkiem jego wobec ojczyzny jest to, wobec rodziny tamto, wobec przyjaciół owo, wobec siebie samego jeszcze co innego. Wzrasta on w poczuciu ogromnych obowiązków. W jakim stopniu jednak poczucia te łączyły się z pojęciem konkretnego postępowania na codzień?

Jeżeli dziecko polskie nie spełnia któregoś ze swych obowiązków, a oczywiście nie ma dziecka, które by spełniało je wszystkie z własnej ochoty, to zostaje przez wychowawców zawstydzone, połajane, dowiaduje się o swej winie, o żalu rodziców, o skutkach swego zaniedbania. I najczęściej na tym się kończy. Skutkiem niewypełniania obowiązku są wyrzuty, mały dramat, może kara. W ogromnej większości wypadków nie następuje to, czego się spodziewać najbardziej należało, to jest przymuszenia do wykonania zaniedbanego obowiązku, lub, jeśli to jest możliwe, wzmożenia kontroli na przyszłość.

Każdy, kto miał do czynienia z tą jedną z najstarszych i w swej istocie najprostszych instytucyj ludzkich, jaką jest wojsko, wie, że ważniejszą nieraz rzeczą od wydania rozkazu jest dopilnowanie jego wykonania. Jeżeli dowódca powie: „Zdobyć to wzgórze!" i pójdzie spać, podległi mu niżsi dowódcy powtórzą ten rozkaz i także pójdą spać, to może on być wykonany tylko przez przypadek lub czyjś odruch, a najprawdopodobniej nie będzie wykonany wcale. Pretensje i kary „ex post" dyscypliny nie przywrócą a za drugim razem podobny rozkaz będzie trudno wykonać. Coś podobnego jak w takiej jednostce wojskowej dzieje się w jednostce ludzkiej. „Powinienem zrobić to, powinienem być taki a taki", to dopiero rozkaz owego wyższego dowódcy. Jeżeli poprzestanie on na tym apelu i odwróci uwagę od wykonania, niżsi dowódcy, w tym wypadku różne praktyczne myśli i impulsy, przepuszczą niejako ten rozkaz przez siebie i wrócą na zwykłą drogę funkcjonowania po linii najmniejszego oporu. Rozkaz dojdzie do nerwów i mięśni słabym echem i albo wywoła tylko lekkie drżenie albo niekontrolowany odruch.

Wielkie obowiązki wykonywane chwilami, w specjalnej atmosferze, od święta, nie są obowiązkami w ogóle. Obowiązek musi mieć swój stały aparat wykonawczy i kontrolny, którego siła jest w proporcji do wielkości obowiązku. Nie znaczy to bynajmniej, że ma się mierzyć zamiar według sił, a nie siły na zamiary. Znaczy, że jeśli się ma wielkie zamiary, to trzeba stosownie do nich wzmagać własne siły. Natomiast u nas utarło się, że ogłasza się wielkie zamiary i wierzy, że siły do nich jakoś się znajdą. Uważa się niemal, że ustalenie zamiaru jest wykonaniem głównego zadania. W rzeczywistości wykonanie zaczyna się dopiero z chwilą gromadzenia sił.

Dysproporcja między pojęciem obowiązku a umiejętnością jego wykonania stwarza wśród Polaków dwa szczególne typy społeczne. Jeden z nich, wyższy i niewątpliwie szlachetny z gruntu, ma kompleks niedopełnionego obowiązku. To ten smutny rodak, martwiący się wciąż o ojczyznę, męczący się wewnętrznie tym, jak jej pomóc, trawiący długie godziny na nerwowej rozmowie, zgorzkniały, krytykujący wszystko i wszystkich, powracający wciąż do tego, co można było zrobić i co by było gdyby. Drugi typ, to rodak romantycznie załamany. Będzie mówił najwznioślej, i nawet ze szczerym wzruszeniem, o sprawie publicznej, o wierze, o obowiązkach, o pladze nieuczciwości, a pożyczonych dziesięciu szylingów nie odda; ma za sobą naprawdę bohaterskie przeżycia i czyny, a lekkomyślnie zapcha się w położenie, z którego będzie usiłował wyjść oszustwem.

Podobne skutki bywają i w naszym życiu publicznym. Na przykład hasło Polski mocarstwowej było okropną blagą nie dlatego, żeby było samo w sobie niemożliwe, ale dlatego, że gromadzenie siły do wykonania tego hasła nie stało w żadnym stosunku do jego wielkości. Takie hasło można sobie postawić, ale wtedy trzeba powiedzieć także, ile ludności trzeba mieć, jaki przemysł, komunikacje, oświatę i zarysować na ile dziesiątków lat jest to zadanie. Świadomość odległości od zamierzonego celu pozwoli wówczas prowadzić politykę nie taką, jakby Polska już była mocarstwem, lecz taką, która do tego celu może zbliżyć.

Romantyzm polski nie jest żadnym romantyzmem, jest niedorozwojem aparatu wykonawczego w człowieku. Źródłem tego niedorozwoju jest błąd wychowania polegający na niepowiązaniu obowiązku z jego wykonaniem, na niedopilnowaniu wykonania obowiązków, od najprostszych i najpierwotniejszych we wczesnym dzieciństwie poczynając. Anglicy są na ogół mniej zdolni od Polaków i mniej jasno widzą cele, do których dążą, osiągają jednak mniejszym wysiłkiem znacznie więcej. Ale też rodzice angielscy nie gderają na dzieci, nie załamują nad nimi rąk, nie budzą w nich kompleksu niedopełnionego obowiązku, natomiast z uporem zmuszają je do robienia właśnie tego i właśnie w taki sposób jak to im kazano. Taka praktyka wytwarza w człowieku konieczny aparat wykonawczy woli. Jeżeli się go nie wytworzy w dzieciństwie, wytworzenie go przez człowieka samego w późniejszym wieku jest zadaniem niezmiernie trudnym i kosztownym.

Wojciech Wasiutyński

P.S. Istotna wartość powyższego artykułu nie polega na tym, że nagradzałem w nim na nasze wychowanie, ale na tym, że napisałem go, mimo najbardziej niesprzyjających warunków, w terminie i rozmiarze umówionym.

Z A P I S K I L O N D Y Ń S K I E

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

UTWÓR CONRADA NA EKRANIE TELEWIZYJNYM

Val Gielgud, który od r. 1929, a więc przez lat z górą dwadzieścia, pełnił funkcje kierownika departamentu dramatycznego B.B. C., ogłosił w „*Radio Times*" artykuł o transmisjach utworów dramatycznych na ekran telewizyjny.

Wśród najlepszych sztuk, transmitowanych w r. 1950, Gielgud wylicza m. in. „Dr. Jekylla i Mr. Hyde'a" R. L. Stevensona oraz „Ukrytego sojusznika" („*The Secret Sharer*" J. Conrada-Korzeniowskiego, — oba utwory w adaptacji telewizyjnej Keir Crossa.

PRODUKCJA WYDAWNICZA W LATACH 1937 i 1950

„*The Bookseller*" ogłosił interesujące dane na temat brytyjskiej produkcji wydawniczej w r. 1937 — a więc na krótko przed wybuchem Drugiej Wojny Światowej — i w r. 1950. Ilośc książek, wydanych w r. 1937, stanowi, jak dotąd, rekord w produkcji brytyjskiej; wyniosła ona 17.137. Cyfra za rok 1950 jest jednak niższa tylko o 65 pozycji.

Zaszły natomiast poważne zmiany, jeśli chodzi o poszczególne kategorie książek. Wbrew ogólnym biadaniom na temat niechęci wydawców do publikowania poezyj, okazuje się, że cyfra wydawnictw, figurujących w kategorii „Poezja i dramat", wynosiła w r. 1950 prawie 700 i była wyższa o blisko 130 pozycyj niż w r. 1937. Za to produkcja beletrystyki spadła bardzo poważnie, bo o 1400 tomów.

Mimo to powieści stanowią nadal kategorię najliczniejszą; po nich idą książki dla dzieci, książki wychowawcze i wydawnictwa religijne. Warto zanotować, że liczba książek, poświęconych sztuce i architekturze podskoczyła z 230 w r. 1937 na blisko 500 w r. 1950. Za to, mimo stałego wzrostu zainteresowania muzyką wśród publiczności brytyjskiej, książek poświęconych temu przedmiotowi ukazało się w r. ub. nie więcej niż 276.

„Times Literary Supplement" omówiwszy te cyfry dodaje, że jeśli książki, wydane w r. 1950, mają charakter nieco zmęczony i „oklepany" *(jaded)*, to nie lepiej było w ostatnich latach pokoju. W każdym razie można stwierdzić, że ostatnia wojna nie przerwała żadnego rodzącego się ruchu wyobraźni pisarskiej i że — jak wynika z cyfr produkcji wydawniczej — nie było rzeczy wartościowszych, które by nie zdolne były ujrzeć światła dziennego z powodu braku wydawcy.

Stwierdzenie to budzić musi gorzkie refleksje u czytelnika polskiego czy to w Kraju czy na emigracji, gdy porówna ów stan rzeczy z obecnym położeniem polskiej twórczości pisarskiej.

KOMPOZYCJE BYRDA

Jednym z najważniejszych w Wielkiej Brytanii wydarzeń zeszłorocznych w dziedzinie muzyki było ukończenie 20-tomowego wydania dzieł muzycznych wybitnego angielskiego kompozytora XVI w. Williama Byrda („*The Collected Works of William Byrd*", wyd. Stainer and Bell).

Byrd uważany jest powszechnie za największego kompozytora epoki elżbietańskiej. W r. 1950 ukazały się trzy ostatnie tomy edycji zbiorowej, obejmujące utwory Byrda na wirginal (rodzaj ówczesnego szpinetu) w liczbie prawie 150.

Redaktorem edycji zbiorowej był Edmund H. Fellowes, od lat kilkudziesięciu zajmujący się studiami nad dawną muzyką angielską.

NIEZWYKŁY KONFLIKT

W brytyjskim świecie teatralnym wybuchł dość niezwykły konflikt. Związek zawodowy aktorów „British Equity" wystąpił do ministra pracy Isaacsa z protestem przeciw zatrudnianiu studentów przez znany zespół teatralny „Old Vic". Pewna liczba studentów ma mianowicie brać udział w chórze mówiącym w przedstawieniach „Elektry" Sofokiesa w marcu r. b.

„Equity" stoi na stanowisku, że studenci powinni otrzymać normalne kontrakty i płacę minimalną w wysokości 4 funtów tygodniowo. „Old Vic" replikuje na to, że studenci mogą brać udział w chórze tylko bezpłatnie, gdyż warunki otrzymywanych przez nich stypendiów nie pozwalają im na przyjmowanie płatnych zajęć.

Sprawa rozpatrywana była na posiedzeniu Londyńskiej Rady Teatralnej (London Theatre Council, złożonej zarówno z dyrektorów teatrów, jak z przedstawicieli „British Equity". Przewodniczył prezes „National Arbitration Tribunal" lord Terrington. Obrady nie dały wyniku, wobec czego sprawa przekazana będzie ponownie ministrowi pracy.

W chwili, gdy to piszemy, konflikt trwa.

PO ŁEPKACH

O CZYTANIU I PISANIU NA EMIGRACJI

NIE ma co ukrywać — czytamy i piszemy na emigracji śmiesznie mało. Trudniej sprawdzić czytelnictwo, ponieważ statystyki czytelnictwa zawsze psuli oglądacze obrazków i czytelnicy po łepkach. Ale pisania nie da się ukryć pod korcem. Pisarze emigracyjni wnoszą dziś do literatury polskiej niemal wyłącznie swoje własne biografie, dzieje osobistej wegetacji.

Gdzież jest na emigracji taki na przykład Antoni Gołubiew, który zanim nadejdzie millenium Polski, ukończy zapewne XVIII część „Bolesława Chrobrego"? Gdzie, powiedzmy, Jan Dobraczyński, ogłaszający już bodaj dwudziestą piątą powieść od zakończenia wojny? Albo Walenty Majdański, równie płodny w piórze, jak w płodzenie zalecającym języku? Albo z tejże samej co ostatni parafii, ksiądz Eugeniusz Dąbrowski z biblioteką teologiczną własnego wyrobu? A gdzież owe Wyki, Borowscy, Kottowie, gdzie inne i liczne, rozszczebiotane papużki marksistowskie, wypuszczające spod skrzydełek co rok prorokaksiążeczkę?

Bo na emigracji Herminia Naglerowa pisze swą powieść dziesiąty rok, Zofię Kossak drukuje „Veritas" trzeci rok, Teodor Parnicki niczego nie ogłosił już ósmy rok. I tak dalej. Książka literacka ukazuje się poza Krajem przeciętnie raz na rok. Jeszcze tylko Jędrzej Giertych ratuje honor literatury, no i publicystyki. Cóż kiedy Giertycha mamy tylko jednego, aczkolwiek w trzech tomach?

Można na obczyźnie na palcach dwu rąk policzyć publicystów oraz na palcach jednej ręki młodych pisarzy, którzy ruchliwością swoją stwarzają złudzenie, że jednak coś się i tu, przed „żelazną kurtyną" dzieje. Ale i ci biedacy długo nie dadzą rady. Literatura emigracyjna tonie w morzu obojętności, a gesty jej przypominają coraz bardziej ową żonę z bajeczki „Golono, strzyżono", która to żona nie mogąc już głosu z siebie dobyć w wodzie i

Czując skonu paraliże,
Wytknęła tylko dwa palce
I na odpowiedź palcami,
Jakby dwiema nożycami
Mężowi pod nosem strzyże...

Jakaż jest tego stanu przyczyna? Najłatwiej jest kozła ofiarnego znajdować w klimacie i to albo pod postacią wiatrów politycznych lub też innych metereologicznych przeciągów i wilgoci. Owszem, owszem... Klimat angielski twórczości duchowej przybyszów nie służy. Niebo tutejsze nie spuszcza koniecznych podniet twórczych. Ziemia też nie bardzo. . .

Niezmiernie ważny czynnik twórczości, zwłaszcza artystycznej, jakim jest wino, nie rodzi się w Anglii a sprowadzane też jakoś nie smakuje i co gorsza — kosztuje. Aczkolwiek słusznie mówi stare przysłowie: „Vinum et mulieres apostatare faciunt sapientes", jednak od pokosztowania do apostazji droga daleka. . . Napitkiem angielskim jest piwo. Zacny to trunek, o ile nie tak okrutnie kwaśny, jak w Końskowoli albo tak gorżki, jak dubliński guinness. Nie daje on wszakże podniet artystycznych. Jest to napój rzemieślników, kupców, żołnierzy. Napój, którego rola kończy się na zbiorowym śpiewie. Napój ludzi stałej pracy rąk. Napój nie przynoszący natchnienia. Źródła kastylskie napewno nie były zaprawione piwem.

Ale cóż to wszystko ma do rzeczy? Twórczość polska na emigracji tak samo nie obradza w Anglii, jak we Francji, w Ameryce, czy gdzie indziej, bez względu na to, czym jest podlewana. Gdzieś leżą głębsze tej jałowości przyczyny.

Jest ich wiele i nie wiadomo, która ważniejsza. Spróbujmy niektóre z nich wyłożyć!

Otóż najpierw. Świat idzie ku powszechności. Nie jest to wcale proces nowy, bowiem świat już kilkakrotnie od powszechności szedł ku rozproszeniu i drogą powrotną. Kiedy rozproszenie interesów ludzkich dochodziło do absurdu, wówczas zwyczajnie w dziejach następował odwrót ku wspólnocie. Wspólnota także oczywiście nigdy zbyt długo nie cieszyła ludzi.

W dziedzinie twórczości artystycznej prądy ku wspólnocie kierowały zawsze twórców w głąb człowieka, w głąb ludzkiej osoby, odrywając go od zbiorowości narodowych i społecznych. Najwyższym bowiem skarbem wspólnoty ludzkiej jest człowiek, jednostka, dusza. To bardzo dziwny paradoks dziejów ludzkich. Im więcej ludzi, tym cenniejszy jest człowiek. Im mniej ludzi, tym łatwiej się zapomina o człowieku. Podział świata na drobne społeczeństwa wiedzie ku prześlepieniu roli człowieka. Dlatego człowiek najcenniejszy był w państwie teokratycznym, w imperium rzymskim, w państwie wspólnoty chrześcijańskiej. Najłatwiej na śmierć go wysyłają państwa narodowe i t.zw. rewolucyjne.

Otóż Polacy są narodem wybitnie nacjonalistycznym, co oczywiście wynika z warunków historycznych i aktualnej rzeczywistości. Polacy mają bardzo słabiutki zmysł powszechności. To co jest najbardziej cenną cechą nadchodzących dziejów kultury: człowiek powszechny — jest to dla Polaków prawie ślepa plama w duszy. Polacy chcieliby widzieć wszędzie na świecie tylko człowieka polskiego, względnie bardzo mu pokrewnego.

Pisarze polscy na emigracji przypuszczalnie znakomicie rozumieją, iż przyszłością kultury jest człowiek powszechny. Nie umieją niestety człowieka tego z narodowych cech polskich wyłuskać. Wybierają zatem milczenie. Aby nie być gołosłownym, przytoczymy przykład bardzo jaskrawy. Żadna chyba z powieści zarówno obcych, jak polskich nie wywołała w prasie krajowej takiego echa, jak Grahama Greene'a „Sedno sprawy". Dyskusja nad sensem „Sedna sprawy" nie schodzi ze szpalt pism katolickich a nawet i marksistowskich w Polsce. Dowodzi to głębokiej potrzeby literackiej prawdy o człowieku wśród czytelników polskich. Wszystkie powieści katolickie, zwłaszcza francuskie, w pierwszym rzędzie Bernanosa i Mauriaca, były pochłaniane przez Polaków. Niewątpliwie jest to ciekawość egzotyki. Ale nie do pomyślenia jest, aby takie książki — o wiecznym człowieku każdej rasy i kraju — mogły powstać w naszym piśmiennictwie. Ze współczesnych pisarzy jeden tylko Zawievski pisze dramaty o człowieku powszechnym, co budzi w Kraju pytanie: o co się właściwie autorowi rozchodzi? O przyjęciu „Rozdroża miłości" na emigracji przez krytykę lepiej nawet nie wspominać.

Ale przecież jednak w Kraju dzięki olbrzymiej dziś roli Kościoła powszechność ludzka i chrześcijańska zaczyna być nieskończenie lepiej rozumiana, niż na emigracji. Toteż i pisarze zachodni chętniej są tam czytani i lepiej pojmowani, niż przez pisarzy polskich przebywających na Zachodzie.

Zatem pierwszą przyczyną milczenia pisarzy polskich na Zachodzie jest onieśmielenie i nieudolność przystosowania się do nowych prądów literatury powszechnej. Pisarze polscy stoją na ślepym torze z którego nie ma żadnego ruchu. Nie mają odwagi podjąć zagadnień nie związanych ściśle z bytem i walką własnego narodu. Nie mają odwagi podróży do ludzkiej duszy, która ich zdaniem leży na innym kierunku, niż dusza polska.

Wiąże się z tym bardzo delikatna sprawa naszej przyszłej w świecie roli. Od półtora stulecia Polacy ograniczają się w swych dążeniach do programu minimalnego: do przetrwania jako naród. Ta postawa, szlachetna i ofiarna, znakomicie wystarczała przez czas pewien. Zwolna jednak stała się postawą rezygnacyjną i reakcyjną. Broniąc zaciekle swojego bytu, Polacy utracili świadomość celu narodowego istnienia. To wcale nie jest program: „Będziem Polakami!" Wielka i myśląca emigracja polistopadowa miała wizję przyszłej Polski i o jej przyszły obraz zacięte wiodła spory. Nasza emigracja wizji żadnej nie posiada i wyrzeka się wszelkich rozważań nad treścią duchową przyszłej Rzeczypospolitej.

Wizja przyszłości musi wynikać z otwartego i zdecydowanego sądu o przeszłości i teraźniejszości. Niestety przeszłość zastępuje nam na emigracji często wizję przyszłości, skutkiem czego fetyszyzujemy wszystko, co w jakikolwiek sposób było Polską. Nie mamy odwagi niczemu, co w jakikolwiek sposób było Polską się przeciwstawić, niczego co polskie odrzucać ni naprawiać. Pisarze polscy na emigracji nie są więc sumieniem narodu, lecz jego bezwładnymi członkami.

Na życie polskie na emigracji ciśnie ponadto olbrzymi tłok obcej kultury. Szczególnie kultura angielska — teologia, filozofia, nauka, publicystyka, piśmiennictwo piękne — ilościowo i jakościowo są zjawiskiem tak potężnym, iż prawie że niepodobna w tym gąszczu postawić problemu oryginalnego. Obca kultura działa w czasach naszych obezwładniająco, a nie, jak kiedyś, zapładniająco.

Życie też samo jest współcześnie tak bogate i pełne oszałamiających niespodzianek, tak szybkie, że literatura przestała już być dla życia (napozór przynajmniej) latarnią wśród mroków, a stała się conajwyżej marniutkim komentarzem. Trzeba mieć doprawdy coś niezmiernie ważnego i ciekawego do powiedzenia, aby mieć odwagę pisać. Ogrom kultury, z którą się stykają, do reszty onieśmiela polskich pisarzy. Na sam widok jej szybkości i gigantycznego narastania dostają zawrotu głowy. Dlatego zapewne czytają tak niewiele, aby nie pogłębiać stanu zachwianej równowagi.

Zupełnie co innego w Kraju. Tam kultura idzie swoim polskim trybem i torem. W Kraju przede wszystkim istnieje, jakże nierozsądnie wyśmiewane, zamówienie społeczne, które jest pierwszym warunkiem powstawania kultury. Każde dzieło, nawet drobne, budzi w Kraju echo. Echo, to pokarm twórców. Tworzyć bez echa mogą chyba tylko pustelnicy. Pisarze muszą dostrzegać skutek swego dzieła. Jeśli go nie dojrzą, pozostają przez całe życie autorami jednej książki.

Nie chodzi tu tylko o zdawkowe recenzje. Idzie o to, aby dzieło pisarskie weszło w krwiobieg kulturalny narodu, aby było potrzebne, aby budziło naśladowców, aby oddziaływało na życie. To błogosławieństwo słowa związane jest jednak nierozerwalnie z własnym narodem i własną ziemią. Pisarz na obczyźnie, niepotrzebny, niesłuchany, niecen͏iony, nieprzytaczany, z dziełami wpadającymi jak kamienie do studni, musiałby posiadać nadludzkie siły i nadludzką wiarę, aby mimo to pisać dalej. Nie trzeba zapominać, że dzieła pisarzy Wielkiej Emigracji pisane były dla Kraju i do Kraju wędrowały. Posiadały echo w Kraju. Dzieło literackie uwarunkowane jest fizycznym prawem — odbijania się od własnej ziemi. Resonans dziełu literackiemu może oddać tylko gleba własnej kultury, nawet jeśli by to było dzieło najbardziej powszechne.

Takie oto są niektóre — nie wszystkie — przyczyny obumierania piśmiennictwa polskiego na emigracji.

Jan Bielatowicz

P.s. Uwagi powyższe służą po to, aby móc postawić pytanie: Czy złożyłeś już swojego szylinga na Katolickie Nagrody Literackie?

Ś.P. PROF. JULIUSZ KRZYŻANOWSKI

W felietonie „Po łepkach" w 2 nrze ŻYCIA podaliśmy wiadomość o śmierci prof. Juliana Krzyżanowskiego, profesora polonistyki. Wedle wiadomości, które nadeszły z Kraju, zmarł tam jednak nie prof. Julian Krzyżanowski, znany historyk literatury polskiej, ale prof. Juliusz Krzyżanowski, który również na Uniwersytecie Wrocławskim piastował katedrę anglistyki.

Z W Y S T A W

POLSCY ARTYŚCI W ASHLEY GALLERY

W świątecznej wystawie sztuki religijnej bierze udział pięciu polskich artystów.

Adam Kossowski zaludnił i odświeżył powietrze wystawy rozstawionymi po kątach kolorowymi ceramikami świętych, pełnymi wdzięku i szczerości, bliskiej dziełom artystów ludowych.

Zadziwiająca, jest wrażliwość i oryginalność *Janusza Eichlera*. Bogate, spokojne szarości „Nawiedzenia" pozwalają oczom odpocząć na cichej powierzchni obrazu. Statyczne postacie, wtopione w wielkie masy kompozycji, grają czerwonawymi szarościami aż do brązowych.

Różne w koncepcjach i natężeniu pół-czerni są linoryty *Aleksandra Wernera*. Mocny w wyrazie „Mojżesz" jest śmiało rozmieszczonym wycinkiem twarzy proroka. Werner opowiada o św. Sebastianie" językiem kulturalnego plastyka, poprzez bogactwo szarości linorytowych płaszczyzn, zrównoważonych kompozycyjnie ciężkim akcentem czerni. Autor wciąga perceptora w dziwną akcję wycinka swojego świata wizji. Dekoracyjna i płaska „Ofiara Abrahama" cieszy oko różnorodnością elementów, świeżością i pokorą wobec natury tworzywa i narzędzia.

Na marginesie tej recenzji należy wspomnieć o sukcesie dwukolorowego linorytu Wernera, „Zuzanny i starców". Niedoceniony, usunięty ze ścian Ogniska Polskiego, został zakupiony przez Giles Bequest w ramach rocznych zakupów do zbiorów Victoria i Albert Muzeum.

Andrzej Bobkowski (św. Sebastian", rzeźba w cemencie), stylizuje w sposób konsekwentny przy wielkim wyczuciu natury nowego tworzywa rzeźbiarskiego.

Linoryt „Wypędzenie z raju", oraz „Św. Franciszek" (mal. na szkle) *Antoniego Bobkowskiego* są nawiązaniem do frazy i techniki sztuki ludowej.

Ostatni czterej artyści są członkami pracowitej grupy „49".

D. Ryszard

WYSTAWA „L'ECOLE DE PARIS"

W Royal Academy na Piccadilly, poza wystawą dzieł Holbeina i innych dawnych mistrzów, odbywa się obecnie wystawa obrazów „szkoły paryskiej" okresu 1900 — 1950. Wystawa obejmuje 160 obrazów, w tym szereg doskonałych płócien Braque'a, Matisse'a, Roualta. Na wystawie nie jest w ogóle tym razem reprezentowany Picasso, który sam tak zadecydował.

Wystawa otwarta jest w dni powszednie od 10 —7, w niedziele od 2 — 6. Wstęp 2 szylingi.

W Berkeley Galleries (20, Davies Street, W. 1) otwarta została wystawa dawnej sztuki murzyńskiej w Nigerii.

WYSTAWA RZADKICH KSIĄŻEK

W dniach 26 do 30 stycznia rb. odbywać się będzie w salach W.H. Robinsona, Ltd., Pall Mall, wystawa starych cennych książek, które należały do zmarłego w r. 1949 Luciusa Wilmerdinga z Nowego Jorku. Książki te wystawione były niedawno w Genewie; z kontynentu samolotem przewiezione będą do Londynu. Dalszą drogę odbędą do Nowego Jorku, gdzie w marcu sprzedane będą na licytacji.

Ogólna ich wartość oceniana jest na £ 65.000. Są to inkunabuły, pierwsze wydania z XVI, XVII i XVIII wieku oraz manuskrypty.

Znajduje się tam m. in. doskonale zachowany egzemplarz „Catholicon" z r. 1460, jednej z pierwszych w ogóle drukowanych książek, niemal rówieśniczki biblii Gutenberga i psałterza moguckiego.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: **Veritas Foundation Publication Centre.** Adres redakcji i Administracji: **Polish Weekly, ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W. 2.** Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt **tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł.** Administracja czynna **codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17** — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja **żadnych rękopisów nie zwraca.** W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. **Prenumerata** płatna jest z góry i wynosi: **miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty** przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi **„crossed"**, wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam £ 1; **w tekście** 50% drożej, na stronie **tytułowej** 100% drożej. **Prenumerata zagraniczna:** SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: B. KUROWSKI, Anggatan 6 c. Lund, Sverige, Sweden. NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM. kwartalnie 7.00 DM. ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DĄBROWSKI. Składnica Książki Polskiej. Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: PKSU VERITAS, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2. USA: kwartalnie pocztą zwykłą 2 dol.; pocztą lotniczą — 5 dol. Przedstawiciel: A. Stojanowski, 36, Dearborn Ave. Rye, N.Y.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734